Dziś w numerze: Droga do niepodległości i suwerenności • Dwa oblicza kultury • Z notatnika malkontenta • Kolumna młodych • Film • Telewizja • Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosy

Nr 5 (419)
5. II. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

Wschód słońca na wysokości 4000 m *Fot. Zbigniew Staszyszyn*

KONRAD FREJDLICH

DIABEŁ NA TĘCZY

Można to zacząć bez mała sensacyjnie: w mieście Zgierzu blisko 2500 ludzi podpisało pakt z diabłem. Niektórzy z nich na tych konszachtach wyszli zupełnie nie najgorzej: wojażują służbowo po Europie i Azji, do pracy przyjeżdżają własnymi samochodami. Inni meblują się na potęgę, inwestują w lodówki i telewizory. A także narzekają — wszyscy bez wyjątku narzekają na piekarzy, że rano w sklepie bułek nie ma. Na piekarzy, jak widać i diabeł nie pomoże.

1.

Ten diabeł wymalowany jest na szyldzie i ma, na swym wizerunku przynajmniej, całkiem sympatyczną twarz. Nazywa się „Boruta". Między nim a jego przodkiem z podłęczyckich bagien jest mniej więcej taka sama różnica jak pomiędzy chemią i alchemią.

To się zaczęło jeszcze w r. 1894, kiedy to panowie Hordliczka i Śniechowski założyli w mieście Zgierzu fabrykę barwników anilinowych, rzecz w owym czasie zupełnie bez precedensu nie tylko w najbliższej okolicy, ale i w całym Królestwie Polskim. Interes zapowiadał się dobrze, gdyż przemysł włókienniczy mógł odebrać każdą ilość barwników, ale na przeszkodzie stanęła I wojna światowa. Odbudową fabryki musieli się już zająć nowi właściciele, spółka akcyjna pod nazwą „Przemysł chemiczny w Polsce". I dopiero w latach trzydziestych rozkręcili zakłady na dobre. II wojna światowa ponownie powstrzymała ten rozwój. Zakłady wyszły z wojny zupełnie zdewastowane.

W końcu lutego 1945 r. na terenie fabryki zawiązała się komórka PPR i do Zgierza przyjechał inż. Lempke, przedstawiciel rządu lubelskiego. Były to czasy, gdy nikt nie pytał się o pieniądze. Ale ludzie musieli coś jeść, więc uruchomiono w zakładach jadłodajnię i spółdzielnię, w której na bony można było otrzymać artykuły żywnościowe. I już 1 kwietnia ruszyły pierwsze oddziały. W r. 1946 produkcja fabryki osiągnęła poziom przedwojenny.

2.

Królestwo „Boruty" rozciąga się na obszarze 80 hektarów pośród starych szop, ciemnych murów najstarszych hal fabrycznych oraz szkła i betonu nowych oddziałów. Z

Dalszy ciąg na str. 5

RYSZARD KLIMCZAK

droga

Miał na imię Jan. Mówiliśmy — Jaś. Był wysoki, bardzo szczupły i zupełnie siwy. Miał spokojną, opanowaną twarz, na której często gościł dobrotliwy uśmiech.

Pojawił się nagle. Zjawisko znamienne dla lat okupacji. Ktoś pojawia się nagle, nieoczekiwanie znika. Dla nas ludzi konspiracji — rzecz zwykła. Nikt o nic nie pyta, niczemu się nie dziwi. Zaczął pracować w naszym biurze. Domyślałem się w tym ręki Edwarda. To wystarczyło.

Zaprzyjaźniliśmy się. Jaś był dużo starszy. Starszy ode mnie był także Edward. Traktowali więc mnie trochę jak uczniaka, trochę jak młodszego brata. Z całą szczerością, po tylu minionych latach, można dziś wyznać, że bardzo chciałem wówczas im dorównać, może wyobrażałem sobie, że im dorównuję, gdy w istocie ich naśladowałem. Imponowali mi, siedemnastoletniemu chłopcu, swoją wiedzą i działalnością a ofiarowaną z ich strony przyjaźń uznałem za powód do dumy.

Dzień pracy w biurze, w pewnym okresie czasu, nie odbiegał z reguły od narzuconego przez Edwarda schematu. Z samego rana — lekcja łaciny. Przed życzliwym lecz surowym nauczycielem deklinowałem, koniugowałem, przekładałem tekst łaciński na polski i vice versa. Edward, pełen wyrozumienia, jak wytrawny pedagog, wyjaśniał zawiłości gramatyki, składni, poprawiał błędy, zachęcał. „Letitia mea magna est ego te sedere video". Właśnie na tym przypadku potknąłem się kiedyś haniebnie.

Uczył nie tylko łaciny. Dziś, w pełni rozumiem rolę, jaką w moim życiu odegrał Edward, choć wówczas zupełnie nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Nauka przychodziła mi łatwo. Byłem pod jej przemożnym urokiem. Sądzę więc, że mojemu nauczycielowi i przyjacielowi nie sprawiałem większego kłopotu. Jakieś znaczenie też odegrała świadomość zaciągniętego długu wdzięczności. Edward uczył mnie bezpłatnie. Moje zarobki ledwie starczały na nędzne utrzymanie.

Powiedziałem mu kiedyś, że posiadam kilka skryptów i program maturalny dla eksternistów, że ten program przerabiam, korzystając doraźnie, w miarę miejscowych możliwości, z obecności profesorów, których los rzucił w te strony. Studiowałem zresztą wszystko co wpadło mi w rękę, od filozofii, aż po astronomię. W jednej dziedzinie wiedzy, np. w matematyce, historii, literaturze, językach obcych, posunąłem się daleko, w innych zaś posiadałem duże braki. Edward postanowił to uporządkować. Nadto — łacina. Z nią miałem poważny kłopot, i właśnie Edward zadeklarował pomoc. Swoją wiedzę nabytą w gimnazjum soleckim jako prymus, które ukończył krótko przed wojną, swój czas i dobrą wolę zainwestował w moją osobę. Czytywał moje młodzieńcze, nieporadne wiersze, pełne patriotycznego patosu i uśmiechał się wyrozumiale.

Nieraz też prowadziliśmy długie rozmowy o wojnie, konspiracji, polityce. Toczyły się dyskusje między Edwardem i Jaśkiem, byłem ich uważnym słuchaczem. Porywające to były rozmowy, mozolnie wyłuskujące ziarna prawdy, które zapadały w umysł. Uczestniczył w nich czasem Sylwester, bliski druh Edwarda, nauczyciel miejscowej szkoły, który przybrał konspiracyjny pseudonim — Wieniawa. Z jego to ust pierwszy raz padły nazwiska: Lenin, Marks.

Z dyskusji tych wyłaniał się obraz przyszłej, wolnej Polski, innej niż ta, o której prawili przywódcy Ar-

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

Trzy wizyty w minionym tygodniu interesowały światową opinię publiczną: przew. Podgornego we Włoszech oraz min. Rapackiego i prem. Wilsona we Francji. Pierwszą komentowałem już na tym miejscu, zauważmy więc tylko klimat, w jakim się odbywała, a o którym „Il Popolo" pisze, iż stanowi „dowód całkowitego unormowania stosunków oficjalnych między ZSRR a Włochami". Dwom innym poświęćmy natomiast nieco uwagi.

Pierwsza w okresie powojennym podróż szefa polskiej dyplomacji do Francji, a zarazem pierwsze rozmowy „ważnego polityka z Europy wschodniej" — jak określa min. Rapackiego „Suddeutsche Zeitung" — po pobycie w Paryżu nowego kanclerza NRF — nadały tej wizycie szczególne znaczenie.

Polskę z Francją łączą nie tylko półtorawiekowe tradycyjne więzy, lecz i — w ostatnim okresie — zbieżność poglądów na wiele światowych spraw. Punktami stycznymi polityki są przede wszystkim: aprobata de Gaulle'a dla nienaruszalności granicy na Odrze i Nysie, przeciwdziałanie próbom dostępu Bonn do broni nuklearnej, poparcie polskiej propozycji zwołania konferencji na temat bezpieczeństwa europejskiego oraz zbliżony pogląd na wojnę wietnamską i drogi uregulowania konfliktu.

Przypomnijmy Czytelnikom, że właśnie te zagadnienia były przedmiotem rozmów polsko-francuskich w czasie wizyt w Paryżu Józefa Cyrankiewicza i Zenona Kliszki oraz pobytu w Warszawie min. Couve de Murville'a. W tym dyplomatycznym ciągu znajduje się również rewizyta min. Rapackiego.

Prezydent de Gaulle — ze względów niejednokrotnie tu omawianych — dąży do znacznego zbliżenia ze Wschodem. W tej polityce liczy się poważnie nasz kraj, odgrywający na powojennej scenie europejskiej ważną rolę. Stąd przede wszystkim znaczenie paryskich rozmów.

Jednak, jak pisałem powyżej, komentatorzy zachodni zainteresowanie obecnym etapem dialogu polsko-francuskiego łączyli także z niedawną wizytą w Paryżu Kiesingera, który miał podobno informować prezydenta Francji o elementach tzw. nowej polityki wschodniej Bonn.

Nowa polityka wschodnia? Prawdą jest, że aktualny kanclerz NRF chętnie o niej mówi. Fakty jednak nie upoważniają do wniosku, że poza pewną zmianą tonu cokolwiek zmieniło się w polityce Bonn. Przede wszystkim zaś, aby rząd NRF wyrzekł się deklaracji przyjętej przez Bundestag w czerwcu 1950 roku, a która stwierdza, że terytorium na wschód od Odry i Nysy „wciąż stanowi część Niemiec". Warunkiem normalizacji stosunków, o co rzekomo chcę zabiegać gabinet boński, musi więc być uznanie granic. Ale nie tylko — chcemy mieć również pewność, że NRF wyrzeknie się broni nuklearnej oraz że uzna fakt istnienia drugiego państwa niemieckiego. I te właśnie warunki potwierdził min. Rapacki w rozmowach z wysokimi przedstawicielami Francji.

Paryż gościł także premiera W. Brytanii — Wilsona. W jego podróży do sześciu krajów etap francuski był najciekawszy, chodziło bowiem o wywnioskowanie, jakie szanse ma W. Brytania przyjęcia do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Wilson — jak donoszą agencje — wyjechał wprawdzie w optymistycznym nastroju, ale nie jest on niczym uzasadniony. Brytyjski premier nie uzyskał od de Gaulle'a definitywnej odpowiedzi. Jeden z członków delegacji na pytanie, jak ocenia rozmowy: czy były one zachęcające czy też nie — odpowiedział, że wskazówki barometru ustawiłby w równej odległości od tych pojęć.

Rozmowy paryskie otacza zasłona tajemnicy. Można jednak sądzić, że poza ciepłymi słowami w rodzaju: „W. Brytania jest umiłowanym przyjacielem i sojusznikiem Francji" (de Gaulle) — nie padło żadne wiążące stwierdzenie. I najprawdopodobniej nie będzie go aż do czasu powszechnych wyborów we Francji, które odbędą się w marcu.

„Aurore" tak pisze o wizycie:

„Przyjąć partnera i wysłuchać go, prowadzić rozmowę, a nie rokowania. Te dwie formuły doskonale charakteryzują sens i sposób postępowania Francji".

Sprawa przystąpienia W. Brytanii do EWG jest interesująca i dlatego, że w dość zręcznej grze dyplomatycznej, jaką prowadzi Wilson między Waszyngtonem a Paryżem, nadchodzi moment, kiedy trzeba będzie zdecydować się na zbliżenie do jednej z tych stolic.

W cieniu jak gdyby omówionych wizyt, chociaż ma ona duże znaczenie, przebiegła podróż Roberta Kennedy'ego po Europie.

Wymieniany jako potencjalny kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych Kennedy zamierzał przedyskutować w Paryżu i Londynie szereg ważnych zagadnień międzynarodowych, a w tym i kwestię wietnamską.

Zawsze wysokie zainteresowanie osobą brata zamordowanego prezydenta wzrosło ostatnio w związku z książką Manchestera. Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że Kennedy, który — jeśli wierzyć waszyngtońskim doniesieniom — inspirował napisanie tej książki, przy jej pomocy rozgrywa partię z Johnsonem. W tej sytuacji jego opinie o problemach światowych są tym bardziej ciekawe. Zwłaszcza o perspektywie wojny wietnamskiej. Teza Johnsona, jak wynika z orędzia budżetowego jest, że wojna będzie trwała w nieskończoność. Kennedy ma na to odmienny pogląd...

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

■ **Publicysta amerykańskiego dziennika „Newsday", Clayton Fritchey, pisze, iż wnioski jakie nasuwają się w wyniku podróży, jaką odbył po pięciu kontynentach, wskazują, na coraz większą izolację Ameryki w dzisiejszym świecie. „W miarę jak mijają lata, jak bogactwo i potęga Ameryki przekracza możliwości wyobrażenia innych krajów, zaczynamy mieć coraz mniej wspólnego z tymi krajami. Nie tylko nasza stopa życiowa, ale również nasz sposób myślenia jest jedyny w swoim rodzaju i nie pozostaje w żadnym związku z doświadczeniem innych krajów".**

■ **Komunistyczna Partia Japonii zaprotestowała przeciwko oskarżeniu o rewizjonizm, z jakim w stosunku do niej wystąpili pekińscy czerwonogwardziści w swoich plakatach. Zdaniem KP Japonii hunweibini w sposób antynarodowy i dogmatyczny wypaczają zasady polityki realizowanej przez japońskich komunistów, działając tym samym na rzecz rozłamu w międzynarodowym ruchu komunistycznym.**

■ W Pekinie pojawił się plakat krytykujący żonę Mao Tse-tunga, Cziang Czing. Czerwonogwardziści zarzucają jej, iż „monopolizuje myśli Mao, które są prawdami absolutnymi i nienaruszalnymi, i których sensu nie należy wypaczać". Kierowana przez nią podkomisja do spraw rewolucji kulturalnej poszła, zdaniem hunweibinów, „drogą oportunizmu".

■ **Brytyjski „Times" o wizycie ministra Rapackiego w Paryżu: „Wizyta pana Rapackiego nabiera szczególnego znaczenia w gaullistowskiej linii politycznej nie tylko z powodu tradycyjnych więzów łączących Francję i Polskę przez półtora wieku, lecz z powodu tego, iż Polska powołana jest do odegrania kluczowej roli we francuskiej polityce zbliżenia z Rosją i Europą wschodnią, któremu to zbliżeniu prezydent Francji poświęca obecnie całą swą energię... Istnieje dużo wspólnych punktów w polityce zagranicznej obu krajów. Oba kraje zgodne są w potępieniu agresji Stanów Zjednoczonych w Wietnamie, w sprawie potrzeby zorganizowania bezpieczeństwa w Europie, w sprawie granicy na Odrze i Nysie i w sprawie odmówienia Niemcom zachodnim jakiegokolwiek dostępu do broni nuklearnych".**

■ Od drugiego półrocza br. w szkołach Czechosłowacji wprowadza się na zasadzie eksperymentu soboty wolne od nauki. Wprowadzenie 5-dniowego tygodnia nauki będzie miało na razie charakter indywidualny, w zależności od warunków danej szkoły i życzenia rodziców.

■ **Według informacji Reutera W. Brytania zamierza podjąć wszelkie możliwe kroki, by nie dopuścić do nowego wyścigu zbrojeń między USA i ZSRR w zakresie budowy nowego systemu obrony — mianowicie systemu antypocisków.**

■ Po powrocie ze stolicy Węgier sekretarz stanu w boońskim MSZ, Ralf Lahr oświadczył, iż rozmowy budapeszteńskie cechowała gotowość do dyskutowania o wszystkich sprawach szczerze i otwarcie. Ralf Lahr wyraził nadzieję, iż Węgry jako drugi z kolei kraj socjalistyczny zawrą stosunki dyplomatyczne z NRF.

■ Na plenarnym zebraniu Związku Radzieckich Artystów Plastyków, pełniąca obowiązki przewodniczącej Związku, rzeźbiarka J. Bielaszowa zwróciła w swym wystąpieniu uwagę na to, iż niektórzy młodzi artyści entuzjazmują się beztreściowym formalizmem. Przewodniczaca Związku skrytykowała ostro niektórych artystów, a m. in. Ernesta Nieizwiestnego za ich abstrakcyjne prace. Podkreśliła, że organizując za granicą wystawy tego rodzaju prac, artyści owi stwarzają wypaczony obraz stanu współczesnego radzieckiego malarstwa i rzeźby.

■ **W Stanach Zjednoczonych powstała nowa organizacja prawicowa pod nazwą „Centrum Studiów nad Wolnością". Organizacja ta jest rodzajem stałego seminarium antykomunistycznego dla aktywu organizacji prawicowych. Powołania takiej organizacji od dawna domagali się przywódcy skrajnie prawicowej John Birch Society, jak też b. kandydat na prezydenta Goldwater. Na inauguracji odczytano telegram gratulacyjny prezydenta Johnsona. Był to pierwszy znany w historii politycznej USA wypadek, aby urzędujący prezydent USA solidaryzował się z ruchami skrajnie prawicowymi.**

■ Węgrzy zawarli ze szwajcarską firmą „Brown-Boveri" kontrakt w sprawie zakupu licencji na turbozespoły energetyczne dużej mocy. Przemysł węgierski zamierza produkować turbozespoły o mocy 200 megawatów, w okresie późniejszym 300, a nawet 500 megawatów. Zawarta umowa umożliwia przedsiębiorstwom węgierskim uruchomienie turbozespołów dostosowanych do siłowni termonuklearnych. Obecnie prowadzona jest działalność akwizycyjna mająca na celu poznanie możliwości eksportu turbozespołów o dużej mocy.

■ **Kościół katolicki we Francji zaczyna odczuwać poważny brak księży. Spadek liczby księży w stosunku do ludności Francji zaznaczył się już na początku XX wieku, lecz dopiero w ostatnich kilkunastu latach tendencja ta stała się bardzo wyraźna. O ile na początku tego stulecia jeden ksiądz przypadał na 752 mieszkańców, o tyle obecnie na 1220 mieszkańców. Przed 30 laty rokrocznie składało śluby kapłańskie około 1300—1400 nowych księży, dziś tylko 500—600.**

■ Jak wynika z oficjalnych danych, w Jugosławii znajduje się około 20 proc. analfabetów i to wśród ludzi dojrzałych. Stwierdza się, że w ciągu ostatnich 5—6 lat liczba analfabetów uległa pewnemu wzrostowi. W roku ubiegłym nauką w szkołach 8-letnich objętych było 80 proc. ogólnej liczby młodzieży.

(New York Herald Tribune)

Finansowi bracia

(Die Welt)

droga

Dalszy ciąg ze str. 1

mii Krajowej, armii, której już wtedy byłem żołnierzem. Trzeba było odpowiedzieć na pytanie, jaka ta Polska ma być? Oczywiście, wolna i sprawiedliwa. Jakie treści podłożyć pod pojęcia: wolność, sprawiedliwość? Sylwester, Edward i Jaś — już wiedzieli.

Z gorliwością neofity pokochałem ideę, która głosiła hasła walki o sprawiedliwość społeczną, godność człowieka, o chleb dla wszystkich ludzi, o naukę nie tylko dla bogatych i uprzywilejowanych, o ziemię dla tych, którzy własnymi rękami ją uprawiają, o to, by nikt nikogo nie wyzyskiwał, by człowiek dla człowieka nie był wilkiem. Aby nie było biednych muszą zniknąć bogacze. Taki jest mechanizm znoszenia się przeciwieństw. O taki kształt przyszłej Polski trzeba walczyć. Już teraz.

Wielokrotnie doznałem krzywdy, wielokrotnie narastał bunt. Tak więc rozumienie walki rewolucyjnej splotło się z osobistym emocjonalnym zaangażowaniem w dążenie do realizacji celów, które głosił Sylwester, Edward i nieco później poznani przywódcy rewolucyjnego nurtu walki na tym terenie — Róg, Wiślicz, Łokietek, Moczar.

Któregoś dnia Jaś opowiadał o Armii Czerwonej i Związku Radzieckim. Przebywał na wschodzie krótko po kampanii wrześniowej w której brał udział jako dowódca plutonu WP. Mówił z sympatią. Zaśpiewał piosenkę, potem drugą i trzecią. Urzekły mnie te pieśni. Pamiętam, dokonałem wielce nieporadnego, wolnego przekładu jednej z nich. Jaś śpiewał cichym, aksamitnym głosem: „Jeśli zawtra wajna, jeśli wrag napadiot, jeśli tiomnaja siła nagrianiet. Kak adin czelawiek, wies sawiecki narod, za swobodnuju rodinu staniet. Na ziemlie w niebiesiach i na morie, nasz napiew i mahucz i surow..."

Mój, pożal się Boże, przekład wszystkim się jednak podobał. Śpiewali go ochoczo, na melodię oryginału członkowie komórki partyjnej, cały nasz garnizon AL i później — partyzanci II Brygady AL „Świt".

Gdy wojenny brzmi róg, jeśli napadnie wróg,
Na ojczyzny kochanej granice.
My chwytajmy za broń, powsiadajmy na koń
I nasuńmy stalowe przyłbice.

Na ziemi, na morzu i w przestworzach
Zabrzmi pieśń pełna zwycięskich surm.
Rozpalimy nad Polską rewolucji zorzę.
Dziś ruszamy w nasz ostatni szturm.

Zagrzmi hukiem stu dział, w jeden złączy się strzał.
I samolot w błękity szybuje.
Motoryzacji cud. Partyzancie, ty, — w przód!
Pancerników tysiące toń pruje.
Chłopcze marsz! Gotuj broń! Naprzód wiedź braci rój
Polsko! Prowadź, kajdany postrącaj!
Z nami lud, z nami wódz, poprowadzą nas w bój,
Z czarnej nocy niewoli ku słońcu!

Tyle pozostało w pamięci z piosenki, którą — przyznam dziś nie bez zażenowania, chełpiłem się wśród najbliższych. Śpiewaliśmy także inne piosenki żołnierskie i partyzanckie, wśród nich — po rosyjsku — radzieckie pieśni wojskowe i rewolucyjne. Myślę też, że bardziej te piosenki śpiewane po rosyjsku, niż ówczesna, początkowa działalność, przyczyniły się do mojego aresztowania, z którego udało mi się szczęśliwie umknąć. Ale to już karta z innego rozdziału wydarzeń. Krótko po wojnie, w dokumentach pozostawionych przez niemiecką żandarmerię w Iłży stwierdziłem powód aresztowania: komunistyczny bandyta. Dumny byłem z tego oskarżenia, chociaż zdawałem sobie sprawę z jego przesadności. Jakiż to był wówczas ze mnie komunista! Raczej piosenkarz i do tego o kiepskim słuchu.

Za pokojem biurowym był mały, ciemny korytarzyk i dalej — pokój mieszkalny. Sypiali w nim, od czasu do czasu, Edward, Jaś — przez cały, krótki zresztą okres pracy w biurze, a także, od przypadku do przypadku, łącznicy lub inni ludzie konspiracji, np. Przełom, Kmicic, Rozłucki, Maszt, Czarny, Wesoły, Zew. Lokal był wygodny. Posiadał dwa wyjścia. Jedno z nich prowadziło do ciasnych, krętych uliczek zaplecza. W tym właśnie pokoju Edward organizował zebrania, omawiał aktualną sytuację na frontach, podawał informacje z nasłuchu radiowego. I oto nagle, tak jak się pojawił, zniknął Jaś. Co się z nim stało — nie wiem. Nigdy o to nie pytałem. Nie należało być ciekawym.

Niebawem odkryłem u Edwarda nowe talenty. Powodziło mu się, jak każdemu z nas, nie najlepiej. To też z podziwem gwizdnąłem, gdy na jego nogach ujrzałem nowe „oficerki". Takie buty kosztowały cały majątek. Do takich butów, niemal przedmiotu honoru każdego szanującego się dywersanta, i ja od dawna wzdychałem. Sprawa szybko się wyjaśniła. Edward nie wydał na nie majątku. Po prostu sam wyprawił skórę, sam także, jedynie pod fachowym nadzorem kolegi, własnoręcznie wykonał. Buty, aby niezbyt głośno skrzypiały i dobrze się nosiły musieliśmy oblać. Spotkaliśmy się na biesiadzie w komplecie. Edward, choć nie pijał w ogóle alkoholu, zorganizował butelkę bimbru pod znakomitą sałatkę z cebuli i lnianego oleju.

Lokal biurowy miał jednak i pewne niedogodności. Dlatego też przenieśliśmy zebranie do chaty Przełoma, położonej obok kierkuta, na skraju wsi. Właśnie w zagrodzie Mazurkiewiczów znajdował się magazyn broni sienieńskiej placówki AL „Świt". W ich spiżarni znajdowały nasze wygłodzone żołądki kes chleba i łyżkę gorącego barszczu. Pod ich pościelą znajdowały wytchnienie nasze zmęczone ciała po nocnej akcji. Udzielając nam schronienia i służąc naszej sprawie, cała rodzina Mazurkiewiczów — cisi bohaterowie, narażała życie i skromny dobytek na utratę. Z ich domu, pożegnani łzą i błogosławieństwem, poszliśmy w bój. Zanim to nastąpiło, Edward, na zebraniach, po wykładach z dziedziny wiedzy wojskowej lub po praktycznych zajęciach z bronią w rzeczniowskim lesie (rzut granatem ćwiczyliśmy przy pomocy kamieni) albo też po nocnym wypadzie dywersyjnym, on właśnie z żarliwym zaangażowaniem rozświetlał nam umysły ideą socjalizmu. Jego siew przyniósł owoce. Edward, który wraz z czołowym aktywem rewolucyjnej organizacji „Świt" znalazł się w szeregach PPR wspólnie z Sylwestrem drążyli nasze umysły i serca aby zjednać nas dla partii, dla idei, o które partia toczyła bój. Pamiętam, jak dziś, była wiosna 1944 roku, świt zastał nas w drodze do Ostrowca. Odpoczywaliśmy chwilę w lesie. Powiedział wreszcie czego ode mnie oczekuje. To nie była łatwa decyzja, chociaż grunt do jej podjęcia dawno przygotowany. Wyraziłem zgodę. Braterski pocałunek i uścisk dłoni ją przypieczętował. Od tej chwili trzeba było działać w podwójnej konspiracji. Wówczas jeszcze, władze AK na naszym terenie, nie tolerowały odejścia swoich żołnierzy do szeregów Armii Ludowej. Edward lojalnie mnie ostrzegł.

W kilka dni później Edward oznajmił mi, że zostałem mianowany podoficerem propagandy.

Nasza grupa rosła o nowych ludzi. O nich to właśnie można przeczytać w dokumentach, już historycznych, lakoniczne stwierdzenie: „...powstała silna komórka PPR w Siennie..."

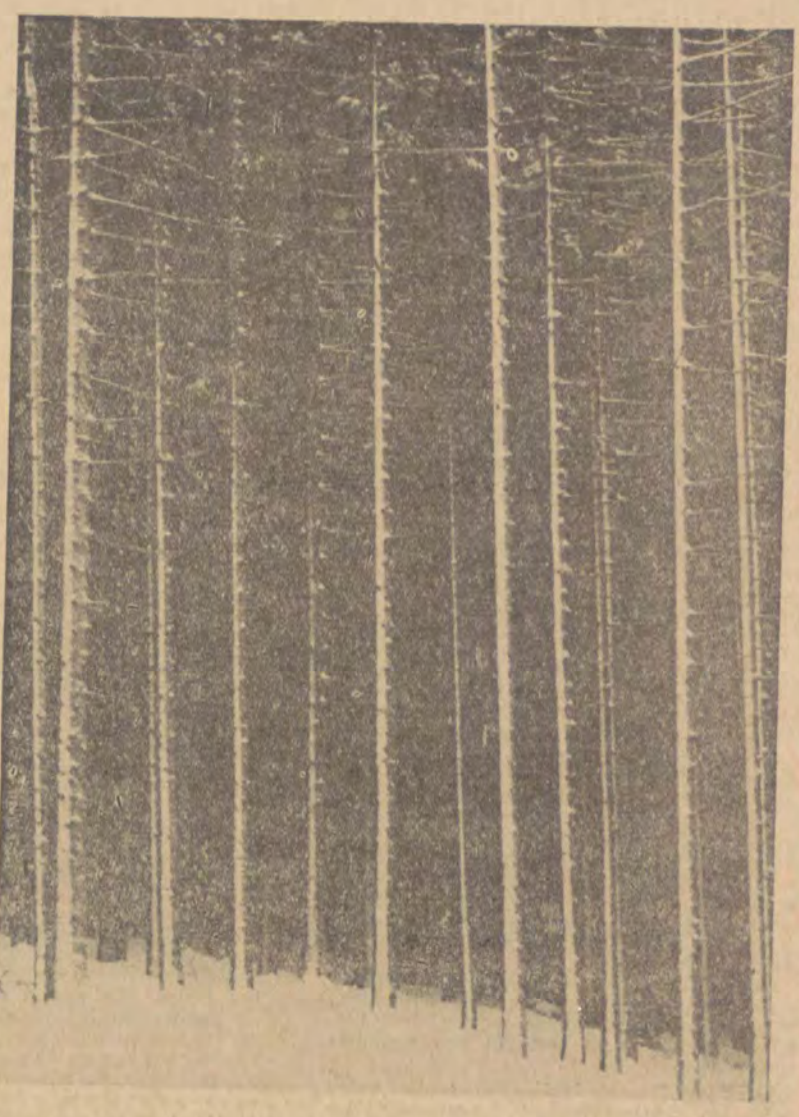

Fot. J. Madejski

A potem, z bronią w ręku, w zgrupowaniach partyzanckich III Obwodu Armii Ludowej na Kielecczyźnie, pod dowództwem generała Moczara walczyliśmy z hitlerowskim najeźdźcą o wolność ojczyzny i socjalistyczne ideały. Nasze stało się zwycięstwo.

Każdy ma jakąś własną drogę do partii. Inną miał przedwojenny komunista, inną — dzisiejszy absolwent wyższej uczelni w Polsce Ludowej, inną — niedojrzali politycznie chłopcy, których wczesna młodość przypadła na trudne lata okupacji.

RYSZARD KLIMCZAK

WALDEMAR MICHOWICZ

DROGA DO NIEPODLEGŁOŚCI I SUWERENNOŚCI

Ukazanie się nowej książki W. T. Kowalskiego *) na rynku księgarskim jest bez wątpienia wydarzeniem naukowym i politycznym. Z tego też powodu towarzyszy mu duże zainteresowanie prasy, periodyków naukowych, radia i telewizji. Jest to przede wszystkim wydarzenie naukowe. Czytelnik po raz pierwszy otrzymał do rąk pełną syntezę dyplomatycznych dziejów sprawy polskiej w czasie II wojny światowej, opracowaną w sposób rzetelny, kompetentny i opartą na nowych, miejscami rewelacyjnych materiałach źródłowych. Wbrew pozorom nasza znajomość walki dyplomatycznej o miejsce Polski na arenie europejskiej w latach 1939 — 1945 nie jest pełna. W ciągu ostatnich kilkunastu lat ukazała się wprawdzie spora ilość pamiętników, artykułów, mikrograficznych monografii i opracowań popularnonaukowych. Równocześnie jednak zbyt wiele było znaków zapytania, za dużo uproszczeń w artykułach i szkicach popularnych, aby można było mówić o pełnej znajomości rzeczy. Największą zasługą dra W. T. Kowalskiego jest to, że nie tylko potrafił nagromadzić ogromną ilość przekazów źródłowych i przez ich wnikliwą analizę dojść do syntezy, ale przede wszystkim fakt, że umiejętnie skoordynował wydarzenia rozgrywające się na trzech płaszczyznach: krajowej, emigracyjnej oraz na płaszczyźnie zabiegów dyplomatycznych państw drugich w stolicach europejskich i w Waszyngtonie. To sprawiło, że ta synteza wypadła przekonująco.

Monografia W. T. Kowalskiego dostarczy Czytelnikowi intelektualnej podniety do przemyśleń politycznych tam, gdzie dochodzi do przeciwstawień programów politycznych obu londyńskiego i krajowego obozu demokratycznego, rzutujących często także na rzeczywistość naszego dnia dzisiejszego. I z tego powodu o książce Kowalskiego można mówić jako o wydarzeniu politycznym.

Dr W. T. Kowalski, zwolennik pragmatyzmu historycznego, wykłada swoje poglądy jasno, z pasją i zaangażowaniem. Ta okoliczność dodatkowo uatrakcyjnia lekturę książki.

Walka o rekonstytuowanie niepodległego państwa polskiego i wkomponowanie go na stałe w żywy organizm Europy stanowi jeden z najbardziej frapujących rozdziałów historii politycznej II wojny światowej, rozpoczyna się ona od momentu przekroczenia przez naczelne władze państwowe Polski granicy rumuńsko — polskiej 17. IX. 1939 r. — kończy komunikatem końcowym trzech wielkich mocarstw, obradujących w Poczdamie, z dnia 2 sierpnia 1945 r., wytyczającym granicę Rzeczypospolitej Polskiej wzdłuż Odry i Nysy Łużyckiej. Ważniejsze etapy tej walki to:

— utworzenie rządu gen. W. Sikorskiego 30. IX. 1939 r.;
— układ polsko-radziecki z 30. VII. 1941 r. i wizyta Sikorskiego w Moskwie;
— pertraktacje w sprawie konfederacji polsko-czechosłowackiej z lat 1940—1942;
— kryzys w stosunkach polsko-radzieckich w związku z ewakuacją armii polskiej z ZSRR i zerwanie tych stosunków na tle sprawy katyńskiej;
— zabiegi rządu emigracyjnego u aliantów zachodnich w sprawie powojennych granic Polski przed i na konferencji w Moskwie (X. 1943);
— wykrystalizowanie się politycznego programu PPR i ZPP w 1943 r.;
— dyskusja nad sprawą polską na konferencji Wielkiej Trójki w Teheranie (28. X. — 1. XII. 1943) i brytyjsko-amerykańskie próby rozwiązania tej sprawy w pierwszej połowie 1944 r.;
— walka PKWN o demokratyczny rząd jedności narodowej i granice na Odrze — Nysie (VII. — XI. 1944);
— decyzje Wielkiej Trójki w sprawie polskiej na konferencji w Jałcie (27. II. 1945) i Poczdamie (2. VIII. 1945).

Centralnym problemem książki W. T. Kowalskiego jest kwestia granic oraz rządu przyszłej, niepodległej Polski. W sprawie granicy zachodniej autor powtarza tezy zawarte w swej pierwszej książce „ZSRR a granica na Odrze i Nysie Łużyckiej 1941 — 1945", podkreślając z jednej strony wspólną odpowiedzialność Wielkiej Trójki za jej ustalenie na linii Odry — Nysy, z drugiej — akcentując główną zasługę ZSRR w walce o przeforsowanie całej koncepcji. Jednakże znacznie wzbogacona została argumentacja oraz wprowadzone zostały pewne uściślenia.

Końcowe partie książki W. T. Kowalskiego, poświęcone opisowi walki o zachodnią granicę Polski należą do najbardziej fascynujących. Dotąd mało przemilczano fakt, że pod koncentrycznym anglo-amerykańskim atakiem zachwiało się zdecydowane początkowo stanowisko delegacji radzieckiej. W godzinach wieczornych 29. VII. 1945 r. Stalin zaprosił Bieruta i zapytał, czy z uwagi na amerykańskie kontrpropozycje granicy na Nysie Wschodniej strona polska nie mogłaby odstąpić od koncepcji granicy na Nysie Łużyckiej i ograniczyć swych żądań do linii Kwissy (około 20 km na wschód). Po naradach w łonie delegacji polskiej B. Bierut i marszałek Rola-Żymierski przybyli ponownie do Stalina w późnych godzinach wieczornych i jeszcze raz przedstawili szczegółowo argumenty polityczne, historyczne i ekonomiczne w obronie linii Odra — Nysa Łużycka. „Stalin ze spokojem wysłuchał Polaków. Następnie — czytamy w książce — patrząc na swych doradców, wolno i z naciskiem powiedział, że delegacja radziecka będzie bronić projektu granicy na Odrze, Nysie Łużyckiej ze Szczecinem włącznie". Granica została obroniona i w końcu przyjęta jednomyślnie przez Wielką Trójkę.

Sprawa polskiej granicy wschodniej była równie, a przez swe implikacje polityczne być może bardziej skomplikowana, niż zagadnienie przesunięcia granicy z Niemcami. Wkroczenie Armii Czerwonej dnia 17 września 1939 r. na tereny Zachodniej Ukrainy i Białorusi a następnie włączenie tych ziem do ZSRR, w wyniku przeprowadzonego plebiscytu, uważane było przez rząd Składkowskiego, a później Sikorskiego, za postawienie Polski i ZSRR w stan wojny, chociaż ta nie została przez żadną ze stron wypowiedziana. Rząd emigracyjny od początku podejmował różne inicjatywy w celu spowodowania ostrzejszych wystąpień przeciwko Związkowi Radzieckiemu ze strony Francji i Wielkiej Brytanii w obronie polskiego stanu posiadania na Wschodzie, do linii Zbrucza. Jednakże bez powodzenia. Już w październiku 1939 r. przedstawiciele rządu brytyjskiego dali wyraźnie do zrozumienia ministrowi Zaleskiemu, że nie zamierzają prowadzić walki o ziemie, których przynależność do państwa polskiego kwestionowali na paryskiej konferencji pokojowej w 1919 r. Anglicy. Wyjaśnili również, że traktat polsko-brytyjski z 25. VIII. 1939 r. zobowiązywał Wielką Brytanię do udzielenia Polsce pomocy tylko przeciwko Niemcom. Innymi słowy, Brytyjczycy stali na stanowisku tzw. linii Curzona jako wschodniej granicy Polski.

Po napaści Niemiec hitlerowskich na ZSRR 22 czerwca 1941 r. sprawa wschodnich granic Polski stanowiła główną przeszkodę w normalizacji stosunków z ZSRR. Ostatecznie jednak, mimo oporu w łonie rządu, Sikorski podpisał układ ze Związkiem Radzieckim 30. VII. 1941 r., odkładając uregulowanie problemu wschodnich granic na później. Do sprawy tych granic nie nawiązano w czasie moskiewskich rozmów Stalin — Sikorski w grudniu 1941 r. Były one jednak przedmiotem licznych rozmów i wymiany korespondencji na szczeblu ambasad, ministerstw spraw zagranicznych i szefów rządów w latach 1942 — 1944. Ogólnie biorąc, kolejne rządy londyńskie broniły nierealistycznej granicy sprzed 1939 r., co w bardzo poważnej mierze komplikowało stosunki polsko-radzieckie oraz problem utworzenia rządu jedności narodowej. Sikorski, Mikołajczyk, a tym bardziej Arciszewski, okazali się niezdolni do rozcięcia gordyjskiego węzła wschodniego. Uczynił to PKWN 26 lipca 1944 r. podpisując ze Związkiem Radzieckim układ w sprawie wschodnich granic.

Przyjęcie zasady etnograficznej i tzw. linii Curzona nie eliminowało automatycznie wszystkich trudności. Wskazuje na to dość zacięta debata między obiema stronami, poprzedzająca podpisanie układu. Wiadomo, że przedmiotem sporu był rejon Puszczy Białowieskiej i — o czym nie wzmiankuje Kowalski (a czyni to w jednym z artykułów publikowanych w „Polityce") — granica w Prusach Wschodnich. Historia ostatnich lat kilkunastu wskazuje że porozumienie z 26. VII. 1944 r., przypieczętowane układem polsko-radzieckim o przyjaźni i współpracy z 21 kwietnia 1945 r. otworzyło zupełnie nowy okres w stosunkach między Polską a ZSRR.

Bardzo interesująco przedstawione zostały również w monografii W. T. Kowalskiego wszystkie etapy walki dyplomatycznej o utworzenie jednolitego rządu polskiego, który reprezentowałby cały naród. W szczególności dotyczy to okresów, kiedy toczył się „zasadniczy spór" o parytet sił demokratycznych z kraju i emigracji w nowym rządzie (sierpień — październik 1944), oraz kiedy miała miejsce walka o realizację uchwał jałtańskich w sprawie utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Szkoda, że W. Kowalski nie wyróżnia tutaj taktycznych celów ZSRR. Brak też jasności, kiedy w gruncie rzeczy Stalin zdecydował się ostatecznie i bez reszty poprzeć PKWN jako podstawowy człon dla utworzenia polskiego tymczasowego rządu demokratycznego. Jak się zdaje, miało to miejsce dopiero po upadku S. Mikołajczyka i utworzeniu rządu T. Arciszewskiego (29. XI. 1944).

Wydawnictwo MON okazało się bardzo starannym wydawcą monografii W. T. Kowalskiego. Ale nakład wydaje się zbyt niski.

Książka W. T. Kowalskiego znakomicie uzupełnia obraz walk żołnierskich i partyzanckich o wolną Polskę na frontach całego świata. Uświadamia każdemu Czytelnikowi, jak skomplikowana i ciężka była polska droga do niepodległości i suwerenności.

---

*) Włodzimierz T. Kowalski, Walka dyplomatyczna o miejsce Polski w Europie w latach 1939—1945, Warszawa 1966, Wyd. MON.

EWA SIEMIŃSKA

Dwa oblicza kultury

Najlepsza wola i wysiłek wielu ludzi i instytucji nie jest niekiedy w stanie sprostać piętrzącym się trudnościom. Pouczającym przykładem takiej właśnie skomplikowanej sytuacji jest sprawa czytelnictwa i bibliotek w Łodzi.

Sporu o łódzkie czytelnictwo nie było. To znaczy: istniał i nadal istnieje problem, lecz nie ma stron, które w trosce o jego rozwiązanie wzajemnie by się sobie przeciwstawiały. Ludzie dobrej woli, którym na sercu leży sprawa czytelnictwa w Łodzi, mają przeciwnika najgroźniejszego, bo nieuchwytnego w swej bezosobowości: warunki obiektywne i dziedzictwo przeszłości. By jednak problem lepiej zobrazować, przeciwnik został wydumany. Niech będzie nim Statystyk. Inscenizując spór, którego nie było, chciałabym — jako autorka — ograniczyć swą rolę do czynności sprawozdawcy, który tylko relacjonuje przebieg sprawy, to co sam zdołał zauważyć, a nie szuka i nie chce mieć racji. Odpowiedzialny i męczący trud takich poszukiwań pozostawiam czytelnikowi. Tym bardziej, że i tak on ma zawsze rację, do niego należy ostatnie słowo.

★

Statystyk: W 1965 roku na 1 mieszkańca m. Łodzi przypadało 0,87 bibliotecznego tomu. Wśród miast wojewódzkich Łódź zajmuje niechlubne ostatnie miejsce. Przeciętna ogólnopolska wynosiła w tym czasie 1,33 tomu na 1 mieszkańca. Warszawa miała np. wskaźnik 1,41. Niewiele lepiej kształtuje się sprawa w województwie łódzkim: 1,13 tomu na 1 mieszkańca. Daje nam to przedostatnie miejsce wśród województw Polski. Dla porównania: najlepsze jest województwo koszalińskie ze swym wskaźnikiem 1,78. Jaskrawa i przykra jest dla nas wymowa tych cyfr.

Człowiek Dobrej Woli: Te same cyfry mogą być miarą osiągnięć. Sięgnijmy do historii. W latach 1937/38 na 1 mieszkańca Polski przypadało 0,05 tomu: w 1946 — 0,04; 1950 — 0,41; 1955 — 0,83; 1960 — 1,05, a w 1965 — 1,33.

900.000 zł, a Rada Narodowa m. Łodzi przyznała na zakup książek ze środków własnych kwotę 1 200 000 zł.

Statystyk: Zbyt wolno postępującej poprawy w dziedzinie czytelnictwa i bibliotek w Łodzi oraz województwie nie można tłumaczyć rozwojem telewizji — tego „pożeracza" wolnego czasu ludzi, powodującego rzekomo mniejsze zapotrzebowanie konsumenta kultury na książki. Dane liczbowe wskazują, że właśnie upośledzona pod względem stanu posiadania bibliotecznego Łódź jest bardzo aktywna, jeśli chodzi o czytelnictwo. W pięcioleciu 1961—65 procent zarejestrowanych czytelników — wzrósł z 5,8 procent ogółu mieszkańców miasta do 13,6 procent, a więc przeszło dwukrotnie! Istnieje więc w Łodzi realna potrzeba intensywnego rozwoju bibliotek już działających i budowania nowych.

Człowiek Dobrej Woli: Nikt nie neguje tych potrzeb. Plan na lata 1966—70 przewiduje budowę 7 nowych bibliotek oraz urządzenie 11 w starym budownictwie. Powstanie więc łącznie 18 nowych bibliotek. Równocześnie poprawiać się będzie stan liczebny księgozbiorów oraz warunki pracy w bibliotekach już istniejących. Wszystko to razem kosztować będzie mnóstwo pieniędzy. Sytuacja poprawi się dość znacznie. W stosunku do naszych możliwości jest to plan maksymalny.

★

Fakty i cyfry dowodzą, że problem faktycznie istnieje. Lecz chociaż robi się bardzo wiele, aby odpowiednio go rozwiązać, to i tak ciągle robi się za mało. Niełatwo nam będzie wydostać się z szarego końca. Bo przecież inni w miejscu nie stoją. Kultura łódzka posiada w dziedzinie czytelnictwa i bibliotek dwa oblicza: jedno — dumne i pełne zadowolenia z niewątpliwych osiągnięć i drugie — wstydliwe, niechętnie ukazywane, zatroskane jak u dobrego gospodarza, który zasmucił się po przeliczeniu zawartości swej sakiewki.

O sytuacji bibliotek w m. Łodzi mówi mgr RYSZARD STEFAŃCZYK, kierownik Wydziału Kultury Rady Narodowej m. Łodzi:

— Troska o biblioteki w Łodzi, to przede wszystkim troska o budowanie bibliotek nowych lub też tworzenie ich w starym budownictwie, o powiększanie ilościowe księgozbiorów oraz o wzrost liczby czytelników, jak również o wzrost ilości wypożyczeń przypadających na 1 czytelnika.

Bardzo wiele zrobiliśmy w dziedzinie budowy bibliotek nowych. Tak np. w 1965 r. przybyło ich aż 7, czyli prawie dwukrotnie więcej niż w latach minionych. Udało nam się to dzięki temu, że przekonaliśmy władze inwestycyjno-budowlane, że są to obiekty pierwszej potrzeby. Dzięki temu do 1965 r. budowaliśmy obiekty biblioteczne na koszt inwestora, bez stosowania odpłatności za oddawane pomieszczenie. Wydział Kultury dawał natomiast wyposażenie: książki, regały itp. Dowodzi to elastyczności naszej polityki kulturalnej — ze względu na trudną sytuację łódzkich bibliotek zdecydowaliśmy się na własne metody postępowania nie przewidziane przez ogólnopolskie przepisy, które ujmują te sprawy cokolwiek inaczej.

Przybywaniu bibliotek systematycznie towarzyszy wzrost ilości książek. Wytworzyła się tu jednak pewna dysproporcja związana z gwałtownym wzrostem liczby czytelników — ilość woluminów przypadających na jednego czytelnika ma tendencję zniżkową: 1961 — 10,1, 1962 — 9,2, 1963 — 9,0, 1964 — 7,3, 1965 — 6,4.

W związku z powyższym zwracamy baczną uwagę na zakup książek. Na to potrzebne są fundusze. Plan na r. 1966 przewidywał na ten cel fundusz w wysokości 1.737.000 zł. Poszczególne Dzielnicowe Rady Narodowe przeznaczyły 935.000 zł. Nasze Prezydium oddało ponadto 300.000 zł dla Biblioteki im. Waryńskiego. Oprócz tego wystąpiliśmy do Ministerstwa Finansów z prośbą o dofinansowanie i otrzymaliśmy 800.000 zł. W ten sposób łączna suma przeznaczona na zakup książek w 1966 roku była trzykrotnie większa niż w latach ubiegłych. Zdystansowaliśmy chyba pod tym względem wszystkie województwa. Likwidujemy więc energicznie zaniedbania, które niewątpliwie istniały na tym odcinku. W przyszłym roku wydamy na książki — według planu — 2.347.000 zł, ale liczymy na dofinansowania (choćby z nadwyżek finansowych w Dzielnicowych Radach Narodowych), a więc znowu przekroczymy sumę 3 milionów złotych.

W bieżącej pięciolatce na budowę nowych bibliotek przeznaczamy 8.000.000 zł. Nie poprzestaniemy jednak na tym. Będziemy tworzyć biblioteki w starym budownictwie, nie tylko bowiem obrzeża potrzebują zwiększania ilości obiektów. Rewindykację lokali przeprowadzać będziemy poprzez decyzje Dzielnicowych Rad Narodowych, to bowiem znajduje się w ich gestii.

Statystyk: Mimo tak złej sytuacji miasto Łódź miało w pięciolatce 1961—65 bardzo niski wskaźnik ilości woluminów zakupionych na 100 mieszkańców: 8,8. Najwyższy wskaźnik miało miasto Wrocław: 14.9. W województwie łódzkim wskaźnik ten wynosił 6,7 (przedostatnie miejsce w Polsce, najlepsze było woj. szczecińskie — 15,9). W przeliczeniu na pieniądze: m. Łódź wydało w tym czasie 2,50 zł na zakup książek na 1 mieszkańca, Wrocław — 3,40 zł, Województwo łódzkie — 1,27 zł, a szczecińskie — 3,37 złotych. Jak więc mamy wydostać się z tego ostatniego miejsca, wśród miast wojewódzkich, a przedostatniego wśród województw?

Człowiek Dobrej Woli: Finanse nie zależą tylko od władz miejskich, które właśnie robią co mogą. Oto fragment z urzędowego pisma Departamentu Pracy Kulturalno-Oświatowej i Bibliotek komunikującego, jak załatwiony został wniosek złożony do Ministerstwa Finansów w 1966 roku:

„W sprawie dofinansowania w roku bieżącym zakupu książek dla bibliotek publicznych wystąpiło w roku bieżącym do Ministerstwa Finansów poza województwem krakowskim również Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi. Wniosek ten został załatwiony pozytywnie. Dotację dla m. Łodzi Ministerstwo Finansów zwiększyło na ten cel o

★

To właśnie w Łodzi powstała równo 50 lat temu pierwsza w Polsce biblioteka publiczna. Tą złotą jubilatką jest Biblioteka im. L. Waryńskiego. I złotymi głoskami zapisał się w jej historii zasłużony działacz polskiego bibliotekarstwa — łodzianin — Jan Augustyniak, którego nazwać można ojcem sieci bibliotek publicznych w Polsce.

Nowe czasy przyniosły nowe potrzeby, konieczność nowych form pracy. Dawny system — centralny, ustąpić musiał wobec niesłychanego, żywiołowego rozwoju bibliotek innemu. Twórcą takiego nowoczesnego profilu była znowu Łódź, a głównym autorem koncepcji decentralizacji bibliotek — łodzianin Ryszard Stefańczyk.

★

Tak to znaleźliśmy się w krainie paradoksu. Pasywa i pozytywa. Jedna sprawa i dwa odmienne punkty widzenia, dwie możliwości interpretacji i różnej oceny. Co o tym sądzić? A może posłuchać rad mądrych ludzi i nie szukać racji stuprocentowych? Jak twierdzą sceptycy — racje takie są zawsze mocno podejrzane, nie ma bowiem w naszym skomplikowanym życiu problemów, które rozwiązać można tak radykalnie i ku absolutnemu zadowoleniu ogółu.

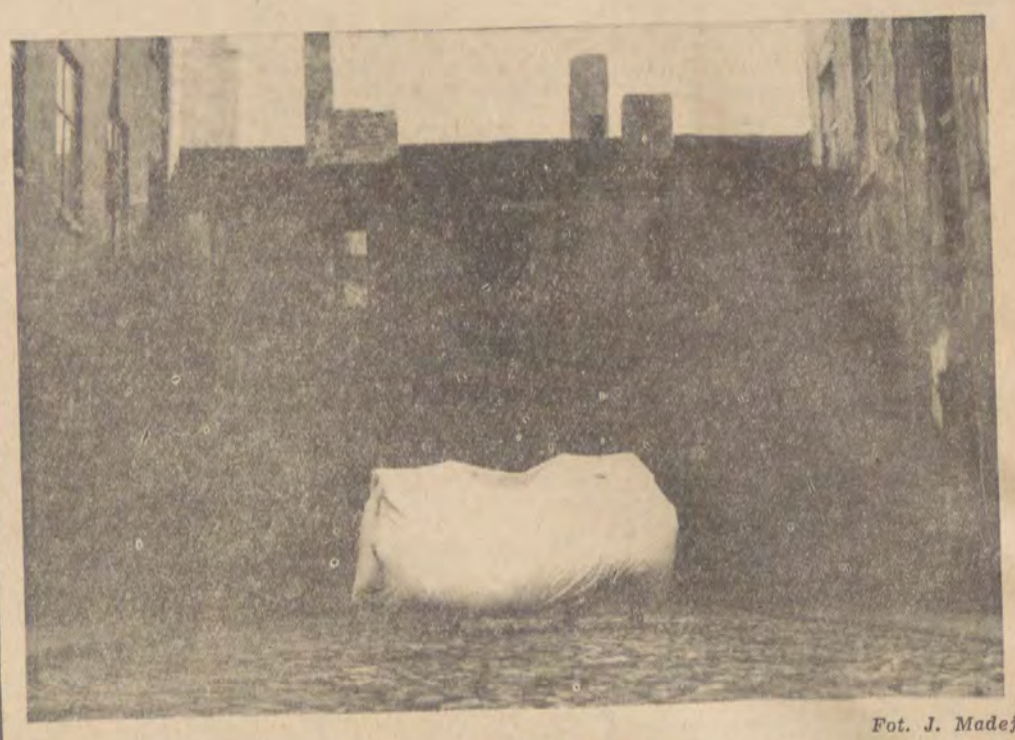

Fot. J. Madejski

ROBERT GLUTH

Z NOTATNIKA malkontenta

Być może, niektórzy czytelnicy „Odgłosów" pamiętają moje reportaże z fabryk łódzkich, publikowane w tym piśmie na jesieni ubiegłego już roku 1966 (jak ten czas płynie!). Reportaż rzecz ulotna, więc dla porządku przypominam, że przez parę ostatnich miesięcy pracowałem jako robotnik niewykwalifikowany w przedsiębiorstwach przemysłu lekkiego (ba, taki lekki to on nie jest) — raczące od czasu do czasu wiernych sympatyków łódzkiego tygodnika dość obiektywnymi opisami faktów, tudzież bardziej subiektywnymi impresjami na temat „Robert Gluth w fabryce".

Robotnik niewykwalifikowany — jak sama nazwa wskazuje — ma do sprzedania tylko siłę swoich mięśni, więc z reguły używany jest do prac ciężkich, mniej lub więcej prymitywnych, na przykład w transporcie wewnętrznym zakładu. Robotnik który jest w dodatku dziennikarzem — obserwuje, notuje i wsadza nos tam, gdzie go nikt nie zaprosił. W ten sposób powstają publikacje na określony temat, a także notatki wielotematyczne, swoisty reporterski groch z kapustą. Notuje się głównie to, co człowieka razi, co „uwiera". Dlatego dziennikarskie pamiętniki przypominają zbiór uwag malkontenta. Nie ulegajcie jednak łatwym złudzeniom, nie posądzajcie krytykujących o nadkwasotę żołądka. Wszak zdanie „to mi się nie podoba" często daje się przetłumaczyć na: „chciałbym, żeby było lepiej". I to w obrębie jednego i tego samego języka.

Przedstawiam czytelnikom swój „groch z kapustą" — nie stylizując i nie upiększając formalnie notatek czynionych na gorąco. W tym — ufam — jest również pewien sens.

A więc — Widzew, w roku 1966, duża fabryka bawełniana, stanowiąca zespół wydziałów przędzalniczych...

I uwagi, których — bardzo proszę — nie uogólniajcie zbyt pochopnie, bo nie ma nic gorszego, niż pochopne uogólnienia.

2.

Dziś, w czasie nocnej zmiany, bardzo niemiły incydent. Gdy taszczyłem przez podwórze chyba swój czwarty „kurs" (wozi się po dwie skrzynie wypełnione przędzą, ustawione jedna na drugiej) — usłyszałem za sobą szybki terkot kółek czyjegoś wózka. Po chwili dogonił mnie Zenek ze swoimi skrzyniami.

— Stań na moment, koleś — powiedział dysząc trochę od tego pośpiechu.

Zatrzymałem się, opuściłem dyszel wózka na bruk, przygotowany na jakąś dłuższą gadkę. Popatrzyłem na Zenka: ten diablo silny przystojniak w wiecznie rozpiętej, błękitnej bluzie roboczej, miał tyle złości w oczach, że zrobiło mi się nijako.

— Ty jesteś cwaniak — usłyszałem — a my potrafimy cwaniakom ryja przefasonować.

— O co chodzi, Zenek — spytałem, nie zastanawiając się nawet, czy „my" oznacza wszystkich naszych kolegów-wozicieli, czy tylko stanowi rodzaj pluralis majestatis.

— Nie udawaj głupiego — brzmiała odpowiedź — chodzi o skrzynie. O puste skrzynie. Ile ich dzisiaj nawiozłeś do hali?

Nie miało sensu próbować wykrętów. Z ręką na sercu, dostarczyłem do tego momentu zaledwie pięć skrzynek — takich solidnych, suchych i nie rozlatujących się. I tak namordowałem się z nimi haniebnie, przebierając wśród zwalonych na podwórzu wraków z odlatującymi bokami. (Tu należy wyjaśnić, że wozicielе — oprócz transportu przędzy do magazynu z przędzalni — odpowiedzialni są za dostarczanie prządkom pustych cewek, tudzież za dowożenie pustych skrzyń, do których potem ładują ważone przez siebie pękate szpulki „obciągnięte" z warsztatów).

— Słuchaj, Zenek — powiadam łagodnie, a czuję się niczym początkujący toreador na arenie — to jest cholerna historia z tymi skrzyniami. Gdzie ich szukać, kiedy na przędzę nie wolno zwozić rozwalonych ani wilgotnych?

— Ja zbieram po innych oddziałach, zbieraj i ty. Inaczej popamiętasz.

Rozmowa skończona; ruszyliśmy w kierunku magazynu, pchając przed sobą swoje ciężkie „kursy".

Obiektywnie Zenek ma rację: puste skrzynie należy zwozić solidarnie. Inaczej — nie daj Boże — zabraknie ich w momencie, gdy trzeba ważyć przędzę i wszyscy wozicielе są zajęci, zwijając się jak w ukropie. Z drugiej strony, znam znacznie gorzej fabrykę, bo jestem „nowy" — i czort wie, gdzie jakieś skrzynie leżą odłogiem. Szukać w innych oddziałach — łatwo powiedzieć! Wścieka mnie jaskrawy paradoks: najłatwiejsze zadanie wozicieli, nie dające się porównać z ważeniem i jazdą z „kursami", zmienia się w uciążliwe wędrowanie po całym zakładzie, absorbujące cenny czas — nie pozwalające na odpoczynek.

Cóż, jaskrawy idiotyzm organizacyjny. Do tej pory znałem jeden: zbieranie cewek w przewijalni. Teraz doszedł drugi. (Cewek stale brak, wyrusza się po nie na pierwsze i drugie piętro, łazi się — ciągnąc wózek z pustą skrzynią — od warsztatu jednej przewijaczki do drugiej, wybiera się łapami z pojemników po kilka cennych tulejek, bez których staną prządnice. A takich cewek każdy wozicieli musi przywieźć 5—6 wielgachnych skrzyń w ciągu zmiany. Brygadzistów z przędzalni nic nie obchodzi: cewki muszą być. Mają rację. Ale postoje zdarzają się, a jakże. I wozicielе — szpulkowi żebracy tyrają bez przerwy).

Do tego wszystkiego — skrzynie. Masa reklamacji grozi przędzy zanieczyszczonej, lecz kwadranse płyną, ważenie zbliża się nieuchronnie — i zawartość niejednego pojemnika „obciągu" trafia do skrzyni-widma, rozlatującego się gruchota, a z niego — prosto na posadzkę lub bruk podwórza, do smaru, wody, kurzu. Świętych nie ma: każdy wozicieli — również Zenek — w pośpiechu dostarcza do wagi kilka skrzyń trzymających się na słowo honoru.

Idiotyzm organizacyjny — myślę: zakład przędzalniami stoi, a dla obu — „amerykańskiej" i „egipskiej" — nie ma dobrych skrzyń, nie dysponuje również przebranymi transportami pustych cewek, które czekałyby na wozicieli w przewijalniach. Brygadziści mówią: „przyjdź pan pół godziny przed zmianą, to przywieziesz pan cewek od cholery". I wozicielе przychodzą. No więc za jaką cenę cały interes „gra"?

Postanawiam rozgryźć ów problem.

3.

Kumoterstwo — powiadają — jest ostatnim ludzkim gestem w świecie cywilizacji technicznej. Ba, ale kumotra trzeba sobie czymś kupić!

Znalazłem. Jest kumoter. Więc będą cewki, a może i skrzynie. Stwierdziłem, że w pomieszczeniu magazynu przędzy od pewnego czasu czatują pracownicy przewijalni, starając się spotkać naszych wozicieli z transportem określonego asortymentu. Przeważnie chodzi o przędzę numeracji 40 albo 54. Inne „kursy" nie mają takiego powodzenia — zwala się je w magazynie, w korytarzu... Wszędzie aż biało od przędzy wypełniającej skrzynie.

Upatrzyłem sobie potężnego, grubego faceta w zielonym kombinezonie, zabrałem z przędzalni odpowiedni „kurs" — i po sprawdzeniu na wadze magazynowej, walę do gościa na pewniaka:

— Potrzeba wam w przewijalni czterdziestki?

— Dawaj pan, dawaj — mruczy mój facet. — Właśnie czekam.

— To ja już panu zawiozę na górę — odpowiadam — ale cewek trochę pan dla mnie przygotuje, co?

— Zrobi się — mruczy zielony grubas. — Przyjedź pan za pół godzinki.

Istotnie, za pół godzinki wskazano mi w przewijalni dobrze zamaskowaną skrzynię pełną cewek. Od tego czasu powtarzam ów kumoterski proceder z niezłym skutkiem. Ze skrzyniami na przędzę wciąż jednak kiepsko. Wyruszałem już nawet na ordynarny rabunek — do układalni (oddział końcowy), gdzie pakuje się przędzę do wysyłki. Tam omal nie doszło do mordobicia: rozjuszony pracownik zrzucił mi piękne, moc ne skrzynie z wózka, obficie racząc mn rewelacjami na temat legalnego związk mych rodziców. Gniew jego był wszelak usprawiedliwiony: nie po to chłopak tas czył prawie nowe opakowania, żeby mu rabowała przędzalnia.

Prawda o skrzynkach przyszła jak ołśn

DIABEŁ NA TĘCZY

Dalszy ciąg ze str. 1

najwyższego piętra młynowni jest dobry widok na ten cały, spowity obłoczkami białej pary, teren. Zakłady nie powstały w jednym rzucie tylko stopniowo, etapami i w czasie wędrówki można dokładnie zauważyć wszystkie szwy tych mozolnych narodzin. W starej części fabryki budynki tłoczą się jak w zachowanych do dziś architektonicznych enklawach miast średniowiecznych. Przy jednoczesnym prowadzeniu w każdym z oddziałów wielu procesów technologicznych ta ciasnota stwarza poważne zagrożenie. Wystarczy przecież chwila nieuwagi, aby ktoś zapłacił za nią śmiercią. Toteż w starych halach ściany pokryte są hasłami i ostrzeżeniami, które gdzie indziej śmieszyłyby może i bawiły, ale tutaj są zupełnie na miejscu. Poczynając od takiego sloganu: „Najpierw pomyśl — zanim coś wykonasz". Sporo tu atrybutów piekielnych: siarka, wyziewy, opary.

Syrena fabryczna brzmi zawsze złowrogo. Odzywa się, gdy stanie się jakieś nieszczęście. Jest jeszcze niekiedy potrzebna, ale być może nadejdzie dzień, kiedy się ją rozmontuje i złoży do jakiegoś lamusa fabrycznych pamiątek. Pomimo wielokrotnie zwiększanej produkcji i wielokrotnie zwiększonego stanu załogi syrenę słyszy się coraz rzadziej.

Ta znakomita poprawa bezpieczeństwa i jednocześnie warunków pracy nie jest zasługą diabła, ani Pana Boga. E. Tarnowski, którego wybrano sekretarzem KZ w październiku 1956 opowiada mi o ogromnych nakładach inwestycyjnych wydatkowanych w latach powojennych na modernizację i rozbudowę zakładów. Od lat pięćdziesiątych wydatkowano corocznie na te cele od 15 do 30 mln złotych. Grubo mniej niż opłaca się włożyć w ten ciągle niezły interes, ale wcale też niemało. Wybudowano przecież całkowicie nowe obiekty: oddziały WT 7 i WT 6B, DM i DF oraz oddział „kadziowe I". Jeszcze wymowniej przedstawiają się dane porównawcze: dzisiejsze Zakłady Przemysłu Barwników „Boruta" są terenowo i oddziałowo dwukrotnie większe niż przed r. 1939. W porównaniu z okresem przedwojennym zatrudnienie wzrosło trzykrotnie, a produkcja dwunastokrotnie. Zakłady są dziś największym producentem barwników w Polsce.

Tarnowski odczekuje chwilę i nagle strzela:

— To dopiero początek.

3.

Idziemy więc tam, gdzie „Boruta" dopiero wpycha się na teren równy jego dzisiejszej powierzchni, pośród plataniny grubych rur, w których dokonuje się ta cudowna przemiana surowców i półproduktów na wszystkie barwy tęczy. Powietrze jest mroźne, a jednocześnie cierpkie, słodkawe, gorzkie, są w nim wszystkie zapachy, jak w chemii. Idziemy tam, gdzie trwają roboty budowlane przy wznoszeniu oddziału standaryzacji i gdzie już zakrzepł w krajobrazie potężny korpus trzeciej zakładowej elektrociepłowni.

Na rozbudowę kombinatu w bieżącej pięciolatce zakłady otrzymały dotację z budżetu centralnego w wysokości 1.600 mln złotych. Jak wielka jest to suma świadczy najlepiej fakt, że w latach 1961—1965 wszystkie nakłady inwestycyjne w województwie łódzkim realizowane z budżetu rad narodowych zamknęły się kwotą zaledwie pięć razy większą.

Prowadzenie budowy w tak wielkiej skali, jest niewątpliwie wielkim, bez mała „priorytetowym" zaszczytem, ale kto się choć odrobinę orientuje w stylu pracy przedsiębiorstw wykonawczych, wie doskonale jaki to ciężar. Uprawnień budowy priorytetowej „Borucie", jak na razie, nie przyznano, zakład nie jest więc w uprzywilejowanej sytuacji na rynku materiałów budowlanych, przy zakupie urządzeń produkcyjnych i aparatów, przy zamawianiu dokumentacji. Prowadzenie działalności inwestycyjnej w takiej skali, bez uprawnień budowy priorytetowej, na pewno nie jest sprawą ani łatwą, ani lekką.

Fot. J. Madejski

Jan Jerzy Madejski jest typowym przedstawicielem tej części fotografików, dla których techniczne dywagacje, udziwnienia, rozgrywki i eksperymenty nie stanowią celu ostatecznego, problemu najistotniejszego, podporządkowującego sobie wszystkie inne elementy sumujące się na fotografię o ambicjach artystycznych. Rejonami ich penetracji są bogactwa autentyczne realnego świata. W nim szukają źródeł inspiracji, ideowego i artystycznego powodu, własnej twórczości. Wszak sztuka w ogóle, a sztuka fotograficzna w szczególności, spełniać powinna przede wszystkim funkcje poznawcze. Aby mogła pretendować do miana humanistycznej, ogólnoludzkiej i prawdziwej musi być metodą poznania i środkiem przekazu jednocześnie. Język fotografii jest uniwersalny i ten uniwersalizm stawia przed nią szczególne obowiązki i zadania. Pomijanie ich prowadzić może tylko do płytkiego estetyzmu, technicznej ekwilibrystyki. Takie pojmowanie fotografii skierowało zainteresowania Madejskiego w kierunku zdjęcia typu reportażowego, zdjęcia robionego na żywo bez uprzedniego upozowania, bez dodatkowych, komentujących lub wzbogacających rekwizytów odautorskich. Twarz ludzka wyrażająca jego stan wewnętrzny. Twarz czy sylwetka człowieka reagującego na jakąś sytuację. Gest będący miernikiem uczuciowego zaangażowania. Wymowny kontrast przedmiotów, które przypadkowo znalazły się obok siebie. Codzienne ludzkie sprawy, codzienne zdarzenia, mówiące tak wiele o człowieku, o jego życiu. To właśnie tematy angażujące Madejskiego najmocniej. A nauczyciele, mistrzowie? To przede wszystkim ci z grupy Magnum. Oni, zdaniem Madejskiego najpełniej zrozumieli istotny sens fotografii współczesnej.

A.G.

4.

W tych warunkach szczególnego znaczenia nabiera realizacja uchwał VII Plenum partii, które kładą nacisk na usprawnienie dotychczasowych metod zarządzania w przemyśle. W październiku ubiegłego roku w „Borucie" zaczęła pracę specjalna Komisja Zakładowa, która od razu ostro zabrała się do rzeczy. Do komisji tej weszło sporo ludzi spoza zakładu: przedstawiciele ministerstwa, zjednoczenia i przedsiębiorstw współpracujących z „Borutą". Może dlatego niektórzy robotnicy twierdzili nawet: „Komisja przewróci wszystko do góry nogami".

Nie taki diabeł straszny, jak go malują: pierwszych materiałów dostarczyła komisji sama załoga „Boruty". Było to około 50 nie raz daleko idących wniosków dotyczących usprawnień metod i organizacji pracy, wydajności i kooperacji. Ludzie rabali otwarcie, co ich boli, a kto nie mógł się precyzyjnie wysłowić składał wniosek na piśmie.

Aby oddać atmosferę tych zebrań, trzeba posłużyć się drastycznym przykładem. Na niektórych oddziałach każdy z robotników samodzielnie prowadzi kilkanaście procesów technologicznych. Odbywa się to w ten sposób, że zaczyna się od procesów technologicznych, których rezultatem są barwniki jasne i stopniowo przechodzi się na kolory coraz ciemniejsze, aż do czerni. Stopniowanie gamy barw pozwala nieprzerwanie prowadzić produkcję, bez konieczności mycia aparatury. Jest to bardzo ważne, gdyż czyszczenie aparatury zabiera co najmniej 8 godzin. Są to godziny produkcyjnych przestojów.

Różne są tego przyczyny, ale to stopniowe przechodzenie z koloru na kolor, jest praktycznie niemożliwe. Wystarczy, że opóźni się statek, który wiezie z Japonii betanaftyloaminę (kraj ten jest jedynym w świecie producentem tego związku) czy też zakłady nie otrzymają w porę bromu z Izraela. Czasem zabraknie po prostu pospolitego ługu, który nie jest unikatem jak brom czy betanaftyloamina. I wtedy po żółci, trzeba od razu przechodzić na fiolet czy czerń. Potem następuje czyszczenie aparatów i rozpoczyna się procesy technologiczne związane na przykład z produkcją czerwieni, aby zaraz po niej przejść na kolory jaśniejsze, co znowu powoduje przestoje.

Niektóre z wniosków złożonych przez załogę „Boruty" były możliwe do natychmiastowego wprowadzenia w życie, i administracja od razu wydała odpowiednie zarządzenia, inne wymagają szczegółowych rozważań i tym zajmie się komisja podzielona zresztą na cztery podkomisje zajmujące się odrębnymi problemami. Podkomisja do spraw zarządzania postawiła już na samym wstępie 7 wniosków zmian organizacyjnych, których realizacja pozwoli na uzyskanie dodatkowych 75 etatów. Jest to bardzo ważne, gdyż pozwoli na przesunięcie wielu pracowników do pracy w nowych oddziałach, których rozruch nastąpi jeszcze w tym kwartale: do trzeciej elektrociepłowni i do oddziału WT — 16.

Jest to zresztą dopiero pierwsza faza prac komisji, etap usprawnień na szczeblu kierowniczym. W najbliższym czasie komisja opracuje szczegółowo wnioski dotyczące poszczególnych stanowisk produkcyjnych. Aby nie powtarzać wielokrotnie tych samych prac rozpatruje się jednocześnie oddziały o podobnych warunkach i profilu produkcyjnym. Doświadczenia oddziałów najlepiej zorganizowanych zostaną przeniesione tam, gdzie sprawy te wyglądają o wiele gorzej.

Spraw do załatwienia jest zresztą tyle, że niemożliwością jest wymienić choćby tylko najważniejsze. Niektóre wymagają jednak natychmiastowych, ostrych cięć. Dotyczy to na przykład niewłaściwej odzieży ochronnej, która w przemyśle chemicznym urasta do problemu pierwszorzędnej wagi. Nie zapominajmy jednak, że na niektórych oddziałach ludzie pracują w oparach straszliwych trucizn, których garstka wystarczyłaby do wytrucia takiego miasta jak Zgierz.

Dla egzystencji „Boruty" niezbędne też jest wydatne przyśpieszenie budowy oddziału standaryzacji, bez której nie może wejść z nową produkcją na światowe rynki zbytu.

5.

Kontakty „Boruty" z wielkim światem realizowane są poprzez przedsiębiorstwo handlu zagranicznego „Ciech". Asortyment produkcji zakładów jest tak szeroki, że „Ciech", a przede wszystkim jego zagraniczni kontrahenci mają z czego wybierać. Tylko w ostatnich pięciu latach w „Borucie" uruchomiono produkcję 80 nowych barwników i 25 półproduktów. Rocznie wpływa więcej niż 100 wniosków racjonalizatorskich, których autorzy niejednokrotnie zdobywają patenty dla swoich pomysłów. W ubiegłym roku za te wnioski zakłady wypłaciły swoim pracownikom 700 tys. złotych, uzyskały zaś oszczędności rzędu 12 mln złotych. Wiele pomysłów dotyczy nowych technologii, a to oznacza zdobywanie nowych rynków zbytu na świecie. Aktualnie 40 proc. produkcji „Boruty" stanowi eksport do 11 krajów socjalistycznych i 38 kapitalistycznych. Zgierskie barwniki kupuje Kanada, Szwajcaria, Holandia, Turcja, India, Pakistan czy Brazylia. Lista tych krajów rozszerzy się znacznie z chwilą wybudowania oddziału standaryzacji i z chwilą zakończenia badań nad produkcją nowych barwników szlachetnych do sztucznych włókien.

Jest to zresztą tylko część zgierskiego eksportu. Obok barwników „Boruta" eksportuje myśl techniczna na miejscu, poprzez szkolenie obcokrajowców i poprzez wyjazdy ekip fachowców na rozruch wybudowanych przez Polskę w innych krajach obiektów przemysłu chemicznego. Ludzie z „Boruty" siedzieli długie miesiące w Jugosławii i Turcji, obecnie zaś przygotowują się do nowej, tym razem afrykańskiej podróży, do kraju faraonów.

KONRAD FREJDLICH

---

nie. Zestawiłem po prostu fakty paradoksalne: z jednej strony czatowanie robotników z przewijalni na określony asortyment — z drugiej zaś po brzegi wypełniony magazyn i sala konferencyjna(!). Skrzynki są zajęte, zamrożone na amen — a zakład nie może wciąż kupować nowych, bo przekroczyłby plan kosztów. Cena jednej skrzyni — ponad 200 zł. Bagatelka!

Coś zaczęło mi świtać w głowie — a rozmowy z majstrami i działaczami partyjnymi owo „coś" rozjaśniły całkowicie. Jak się okazuje, przedsiębiorstwo ma narzucony przez zjednoczenie plan asortymentu produkowanej przędzy — a ten plan, wybaczcie, ma się tak do popytu, jak piernik do wiatraka. W rezultacie ogromne przestrzenie w zakładzie zajmują skrzynie z surową przędzą różnorodnej numeracji, którą — rzecz jasna — ekonomista nazwie „produkcją w toku".

Produkcja w toku rośnie i rośnie — razem z blokadą magazynów. A gdzie rentowność? Gdzie analiza rynku? O, ratujcie mnie wszyscy święci ekonomiczni!

Jak mi kto powie, że poprawa organizacji produkcji jest sprawą łatwą, to się uśmieję. Powiedzcie mi to z soboty na niedzielę, żebym miał więcej czasu.

4.

Piątek, 11 listopada 1966 r. niczym szczególnym się nie odznaczał — ot, zwyczajny dzień jak co dzień. Chyba tylko to, że przed portiernią naszych zakładów usiłowano pobić wieczorem jednego z majstrów. Majster — nie baranek prowadzony na rzeź, więc doszło do obustronnych rękoczynów, zebrał się spory tłumek widzów i interweniowała MO.

Na drugi dzień głośno było o incydencie: na odprawie mistrzów z kierownikiem oddziału, na schodach, w halach fabrycznych... w ogóle całe przedsiębiorstwo komentowało zajście. Przeważały głosy krytyczne, rozsądne: „Jeśli do tego dojdzie, że porachunki z majstrem będziemy załatwiali na pięści — powiadano — to całą budę szlag trafi". Były także inne wypowiedzi.

Reporterowi incydent każe zająć się problemem — prawda stara jak świat. Postanowiłem pogadać z majstrem, nie z pierwszym lepszym i nie z bohaterem wieczornego wydarzenia. Mój majster jest raczej „pierwszy średni" — ani źle, ani dobrze notowany, zwyczajny, przeciętny mistrz przędzalnik. Chciałbym wiedzieć, co myśli o wielu sprawach — i posiadać gwarancję, że będzie mówić szczerze. O szczerość nie muszę się obawiać: w końcu on wie, że go poznałem tak, jak tylko podwładny może poznać bezpośredniego zwierzchnika w codziennych kontaktach. Teren obieramy neutralny: niewielką restaurację na peryferiach. Tam przeprowadzam wywiad na temat „co i jak myśli majster o swoich ludziach, o sobie, o sytuacji w przedsiębiorstwie".

— Prawdę mówiąc, byłem zawsze uparty — powiada J. M. — i może dlatego jestem do tej pory majstrem. Czasami spotykam dawnych kolegów z technikum, gadamy o swoich losach i wtedy okazuje się, że ten pracuje w MRN, tamten w spółdzielczości... Zawód mistrza w przemyśle nie należy do atrakcyjnych.

— Zacząłem dosyć wcześnie, po ukończeniu szkoły. Nie miałem nawet 18 lat. To było w Zambrowie. W Łodzi siedzę od 1962 roku. Razem będzie ze 12 lat „mistrzowania". Przez ten cały czas nauczyłem się swojej najważniejszej prawdy: że w przemyśle pracuje się z maszyną i z człowiekiem, że maszyna jest zawsze lepsza i można do niej zajrzeć, a do człowieka nie.

— To dosyć pesymistyczne zdanie, mistrzu — powiadam.

— Ale nie chce być inaczej — odpowiada J. M.

Majster pracuje o wiele ciężej, niż mogłoby się wydawać. Zawsze przychodzi wcześniej i wychodzi później od innych. Jest powiązany tysiącami nici ze swoją załogą, przeto musi być dyplomatą, stosować elastyczną, zmienną niczym kameleon taktykę. (J. M. mówi: „Wiadomo, że zarobek mistrza zależy od zarobków podległych mu prządek — taka jest zasada w przedsiębiorstwie — więc staram się różnymi metodami dopingować ludzi. Bardzo często idę na rękę pracownicy, nawet wtedy, gdy wchodzę w konflikt ze zwierzchnikami. Robię tak dlatego, że mogę to sobie później zdyskontować — żądać od załogi więcej. A to się opłaca").

— Czy mnie lubią? Chyba tak. Staram się o to. Obecne układy sił w przedsiębiorstwie są takie, że mistrz musi zabiegać o sympatię załogi. Dajmy na to, tamten majster, co go chcieli pobić, spotkał się z zarzutem, że „udaje ważniaka", nosa zadziera i tak dalej... Dziś autorytet mistrza nie jest już taki jak dawniej, ludzie mogą sobie dowolnie zmieniać zakłady pracy, są bardziej niezależni. Ale — bo bym zapomniał — z drugiej strony dbam, żeby mnie zbytnio nie kantowano. Podobno mam opinię takiego, którego kantować trudno. Szybki refleks i dobrze użyta broń kpiny, wydrwienia cwaniaków — to również moje silne atuty.

Na zakończenie mistrz mówi o różnicy pomiędzy robotnikami miejscowymi i przyjezdnymi. Ta obserwacja ma dla mnie szczególną wartość: obala pewne szablony pojęciowe, pewne mity — przynajmniej w odniesieniu do zakładu, który stanowi przedmiot moich penetracji.

Okazuje się bowiem, że robotnicy przyjezdni — a jest ich spora grupa — są tzw. lepszym elementem. Właśnie owi „chłoporobotnicy" i córki rolników z okolic Łodzi, nie mający przecież tradycji przemysłowych we krwi, pracują bardzo wydajnie, są bardziej zdyscyplinowani i posłuszni. Składa się na to wiele przyczyn. J. M. wymienia takie, jak pewne onieśmielenie miastem i pragnienie awansu — wrośnięcia w miasto — do którego prowadzi droga przez ten właśnie zakład zatrudniający ludzi bez zameldowania w Łodzi. Oni nie zmieniają zakładów pracy i przestrzegają raczej dyscypliny. Ułatwia im to komunikacja kolejowa — dodaje z przekąsem J. M. — O ileż łatwiej dostać się tutaj z Justynowa czy Andrzejowa, a nawet z Rogów, niż z Bałut lub Chojen. Szczególnie zimą, gdy pociągi elektryczne muszą chodzić, a tramwaje miejskie wolą nie pokazywać się na ulicach.

Koniec wywiadu. Obaj jesteśmy zmęczeni, więc przechodzimy do „części artystycznej". Okazuje się, że mamy podobny gust: lubimy angielską gorzką i korniszony.

Młodzi • Młodzi • Młodzi • Młodzi • Młodzi

JACEK BIEREZIN

Poezja buntu czyli o twórczości Andrzeja Bursy

Jednym z wniosków Ogólnopolskiego Zjazdu Młodych Pisarzy, który odbył się w dniach od 11 do 13 listopada 1966 roku w Lublinie, był postulat ponownego wydania wierszy Andrzeja Bursy. Wydaje mi się, że propozycja jest jak najbardziej słuszna. Twórczość tego nagle zmarłego, młodego poety jest stosunkowo mało znana, a przecież jego tomik wierszy był jednym z najciekawszych debiutów w latach odrodzenia poezji, to znaczy po październiku 1956 r. Wiersze Bursy w odbiorze przyjmowane są krańcowo różnie. Po powierzchownym odczytaniu budzą zażenowanie i niesmak — w rezultacie lekceważenie, a znowu w innych przypadkach są przyjmowane wręcz z entuzjazmem. Jedno jest pewne — wobec tej poezji nie można pozostać obojętnym, a to już stanowi o jej niezaprzeczalnej wartości społecznej.

Ośrodkiem zainteresowania tej poezji-dialogu ze światem, jej układem odniesienia — jest człowiek. To on podlega wiwisekcji dokonywanej zresztą z precyzją chirurga. A zaczyna się ta poezja od sentymentalizmu, od niewinności, od raju dzieciństwa. W pierwszych wierszach Bursy powracają estetyczne i tematyczne kanony skamandrytów, a także niektórych klasyków rosyjskich. W wierszu „Zgaśnij księżycu"*) poeta pisze:

Jeszcze będą burzliwe noce
Srebrne miasta dużo goryczy
Wstań mamusiu zasłoń okno kocem
Zgaśnij zgaśnij księżycu!

Ale już w początkowej fazie twórczości pojawia się inna nuta:

Dzień był posągiem słońca....
a z każdym dotknięciem
Wiatru włosów na twarzy, gałęzi
czy dłoni
Stukało serce jak wesoły dzięcioł
W rezerwacie, gdzie chodzić nie
wolno pod bronią.

Jakże charakterystyczne dla naszej epoki zagrożenie — wojna, która pozostawiła niezatarte ślady w psychice. Krainę szczęśliwości, Arkadię modną i opiewaną w sztuce XVII i XVIII wieku, czy Farlandię Gałczyńskiego — zastępuje tu „rezerwat, gdzie chodzić nie wolno pod bronią".

Ta rezygnacja, pomniejszenie marzeń w porównaniu z przeszłością, świadczy już o goryczy młodego autora. Bunt w tych początkowych, młodzieńczych wierszach Bursy jest podskórny. Poeta pozostaje jeszcze pod wpływem skamandrytów — świadczą o tym również reminiscencje tematyczne, akcenty martwoty w „Miasteczku", czy moralno-polityczna zajadłość w „Liryce Rudolfa Hessa". Powoli jednak do wierszy przenikają elementy satyry i groteski, które później rozbija klasyczną formę. Na razie tę niemal klasyczną poetykę odświeża wulgaryzowanie. Już w tych wierszach widoczne jest przejście od mistyki eschatologicznej do realnych rekwizytów śmierci:

I z radosnym okrzykiem przebiegł
przez obozy,
Aż zadyszany ochrypł od próżnego
trudu.
Oni głów nie podnieśli, bo urwane
głowy
Nie chciały już do martwych
przyrosnąć kadłubów.
(„Generał")

Po październiku 1956 roku Bursa radykalnie zmienia swoją poetykę — zrywa z klasyczną, stroficzną formą, przekształca środki wyrazu. W nowych wierszach metaforykę opisową zastępuje skrót myślowy — stłumienie stanów emocjonalnych. Na planie moralnym przejmuje etykę poezji Różewicza — żyje ze świadomością własnej śmierci, która jest jedynym sposobem ucieczki z tego świata bez wartości. Igra ze śmiercią — ucieka od niej, to znów ją przywołuje. Ileż szyderstwa, ale i tragizmu zawiera fragment wiersza „Kat":

skarżą się na kryzys teatru (a nawet tego nie umieją wyreżyserować ze smakiem) (jak mnie będą wieszać) kat ma być we fraku.

Rys. A. Grun

Są w tej poezji — komentującej rzeczywistość — echa filozofii Kafki; wyrok na człowieka już zapadł, ale wciąż się odwleka wykonanie egzekucji. Ale jest też coś więcej — jest demaskatorska pasja odkłamywania życia, motyw obalania pozorów, ośmieszanie moralności drobnomieszczańskiej. Bursa wywraca hierarchie, kpi z tych naszych poczynań, których źródłem inspiracji jest obłuda. Mowy pogrzebowe są dla niego zakłamaniem. Komentuje je następująco:

Cichy pracownik (niezbędny miastu jak dobre powietrze) wytrwały i cierpliwy (nie pragnący zaszczytów) sumienny i obowiązkowy (nieugięty) prawy (bohater) ((chodzi o asenizatora) utopionego przypadkowo w gównie).

Wiersze te odczytane dosłownie mogłyby się spotkać z zarzutem od wracania pojęć moralnych. Należy jednak pamiętać, że są to satyry zawierające tyle szamotaniny, tyle goryczy i sprzeczności wewnętrznych, tyle szczerości i autentyzmu, że stają się tragicznym w swej wymowie pamiętnikiem lirycznym. Bursa doskonale zdaje sobie sprawę z konsekwencji obrazu poetyckiego i właśnie dlatego wyrazu dla swojego buntu szuka w mocnych, częstu wulgarnych słowach i konstrukcjach. Jest ordynarny i poetycki, bezkompromisowy i prawdziwy. Osądza zarówno tych, których atakuje, jak i tych, których broni. W zakończeniu wiersza „Obrona żebractwa" pisze:

Nie pomyślcie że fraternizuję się
z lumpami
żebracy są przeważnie ograniczeni
i cuchną
czuję do nich taki sam wstręt
jak do was panowie... artyści
tyle że bardziej gustuję
w ich sztuce
niż w waszej.

Utwór jest oskarżeniem sztuki nie posiadającej pełni realistycznego uogólnienia, takiej, której nie można stosować, niesprawdzalnej w życiu. Podobnym wierszem jest „Dyskurs z poetą", z którego wynika, że poezja jako sztuka zajmująca się poszukiwaniem estetycznego kanonu piękna jest nieprawdziwa, oderwana od rzeczywistości, rozlatująca się przy zetknięciu z życiem.

W ostatnim okresie twórczości Bursy bierze górę ton najmocniejszy, o którym wspomniałem powyżej — ton aroganckiej ironii i groteski. Tu już wyraźnie wychodzą na jaw obsesje nurtujące autora — obsesje wrogości całego świata wobec niego oraz jego wrogości wobec całego świata. Wystarczy wymienić takie wiersze jak: „Kopniaki", „Z zabaw i gier dziecięcych", „Pantofelek", „Pedagogika", „Zażalenie".

Na szczególne wyróżnienie zasługuje jeszcze proza poetycka „Szachy" i szkic sceniczny „Zwierzęta Hrabiego Cagliostro"; zwłaszcza myśl historyczna „Zwierząt" i ich wiecznie aktualna, wytrzymująca próbę czasu i dająca się uogólnić wymowa, która — jak we wszystkich prawie utworach — zmierza do odsłonięcia kompromitujących aspektów współczesności — są najlepszą miarą talentu Andrzeja Bursy — poety, który uznanie dla swojej twórczości zdobył za cenę życia.

*) Wszystkie zamieszczone cytaty z wierszy Bursy pochodzą z tomiku: Andrzej Bursa — „Wiersze", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1958.

WŁADYSŁAW HUZIK

STARA

Od placu Wolności, wczesnym popołudniem, szła stara kobieta. Szła powoli, z widocznym wysiłkiem unosząc nogi. Jej szczególne pochylenie, sposób w jaki owinięta była grubą wełnianą chustą — wskazywały, że daleką ma przed sobą drogę.

Przechodząc jezdnię, cofnęła się spłoszona rykiem nadjeżdżającego samochodu. Stanęła bezradnie na krawężniku, jak ślepiec macając przed sobą laską. Dopiero jakiś chłopiec ujął ją pod ramię i ostrożnie przeprowadził na drugą stronę. Podziękowała mu godnym, spokojnym skinieniem głowy.

Na placu Kościelnym przeszła przez otwartą bramę i przysiadła na kościelnych schodach. Wyjęła z kieszeni różaniec, pocałowała krzyż i przesuwając ziarenka poruszała bezzębnymi ustami mrucząc przy tym jakieś modlitwy. Odpoczywała zarazem.

Do Bałuckiego Rynku doszła około czwartej i zagubiła się w tłumie ludzi wracających z pracy, zabłądziła w wąskich uliczkach między straganami. Zaaferowane gospodynie potrącały ją wypełnionymi siatkami, przekupnie podtykali jej swoje towary, wzruszali ramionami widząc jej nieobecne spojrzenia i odchodzili przekrzykując się nawzajem.

Zatrzymała się przy straganie z jabłkami. Wpatrzona w rumiane, pachnące jabłka przełknęła ślinę — aż drgnęła grdyka pod obwisłą skórą. Na jej pomarszczonej twarzy pojawił się wyraz pożądliwości. Wyciągnęła rękę i pochwyciła to największe, z samego szczytu. Uśmiechając się przycisnęła je do piersi.

— Hej hej! — poderwał się drzemiący obok sprzedawca. — Zostaw to!... — wybiegł potrącając stragan i odebrał jabłko.

— Czego chcesz... — broniła się płaczliwie. — Jestem stara...

— Stara, stara... — gderał układając roztrąconą piramidę. Ale nie był specjalnie zły — widział przecież jej smutną starość. Była to jedna z tych czarno ubranych kobiet, które mijamy litując się i dziwiąc ich starości, które trzeba wsadzać do tramwaju, a gdy stoją w przejściu trzęsąc się jakby za chwilę miały upaść, każdy ustępuje im miejsca i podaje ich pieniądze konduktorowi.

Powoli narastało zbiegowisko. Ludzie przypatrując się ciekawie półgłosem komentowali zdarzenie, uśmiechali się. Ona zaś jakby już o tym wszystkim zapomniała. Mrużąc nieprzytomnie oczy rozglądała się dokoła.

— Którędy do Warszawy, panowie? — zapytała. — Czy ja dobrze idę?... Ja idę do Warszawy — mówiła wyjaśniając. — Mam tam syna... O, on jest dobry...

Milczenie ludzi napełniało ją obawą. Drepcząc w kółko z niepokojem zaglądała w twarze, wyciągała błagalnie ręce.

— Czy dojdę tędy?... To tędy, panie? — uchwyciła się samodziałowej kurtki jakiegoś robotnika.

— Nooo, to tutaj do szosy... — wyprostował się pod jej dotknięciem. — Ale gdzie wam, kobieto...

Ludzie szeptali poruszeni, patrzyli na nią litościwie. Sprzedawca spoglądał to na nią, to na jabłka i drapał się niezdecydowanie w głowę.

Obok nich, na jezdni, zatrzymała się rozklekotana taksówka. Jej pasażer wysiadł, stanął na stopniu i spoglądał ponad głowami tłumu.

— Mamo! — wołał przeciskając się do niej. Dotknął jej ramienia i odetchnął z ulgą. — Chodźmy do domu, mamo...

— Odejdź! — zamierzyła się laską. — Do Jurka idę, do Warszawy... — wymawiała z nabożeństwem. — Jurek!... Ooo, on! — zachłysnęła się uwielbieniem.

Mężczyzna rozejrzał się jakby szukając pomocy. Ale otaczający go ludzie milczeli wrogo. Gruba przekupka chlipnęła głośno, pociągnęła nosem i odwróciła się od niego demonstracyjnie; w oczach mężczyzn zapalały się złe błyski.

— Ona tak nie pierwszy raz... Objechałem już wszystkie dworce, a tu patrzę... — próba uśmiechu wypadła żałośnie. — Mamo... — poprosił.

Licznik taksówki wystukiwał już zapewne astronomiczną sumę — i to zwiększało jeszcze jego zdenerwowanie. Chwycił matkę za ramię, ale wyszarpnęła się gwałtownie — i wtedy z kieszeni wyprysnęła jej struga bilonu i zwitek banknotów rozsypał się po betonie. Dzieci usłużnie rzuciły się do zbierania — a ona śledziła nerwowo za każdym ich ruchem, dreptała za nimi, odbierała natychmiast podniesione monety i szybko wciskała do kieszeni.

Nadal nikt nie powiedział ani słowa, ale milczenie nie zawierało już w sobie wrogości, w sposób wyczuwalny zmieniło się nastawienie tłumu. To była pokaźna suma, większa niż zarobki niejednego z nich. Kobieta mogła kupić sobie nie tylko jabłka — mogła pojechać pociągiem.

— Ona nie ma u nas źle — tłumaczył mężczyzna. — Odkłada sobie całą rentę, i ja jej jeszcze daję... A przecież żyjemy razem. Tylko jest już stara...

Patrzył na nią z tkliwością.

— Chodźmy już mamo... — objął ją i poprowadził ostrożnie do samochodu. Szła z nim teraz bezwolnie, kurczowo zaciskając kieszeń. Tylko po policzkach ścieżkami zmarszczek, spływały duże, rzęsiste łzy. W taksówce nachylił się nad nią, wyjął chusteczkę i delikatnie osuszał zapłakaną twarz. Zanim odjechali, widać było, że tłumaczy jej coś łagodnie.

— Ech, pokręciło się coś staruszce... — powiedział sprzedawca, poprawił się w zydelku, oparł możliwie najwygodniej o ściankę straganu i znowu zapadł w drzemkę.

Ludzie postali jeszcze chwilę, pokiwali głowami — potem rozeszli się do domów.

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

Rozjuszone bawoły tratowały Judasza rozciągniętego na całe niebo. Krople jego włosów spływały po trzcinach gotowych do szumu.

Judasz Iskariota miał kilka żon. Zatrudniał je do przeżuwania srebrników. Wydały potomstwo. Są to kapłani bijący głową w korę drzewa, z którego Żydzi zbudowali Chrystusowi krzyż.

Mierzyli skrupulatnie, obchodząc i węsząc,
Czy konsystencja ciał już akuratna.

Pamięci Krzysztofa Baczyńskiego
i Tadeusza Gajcego

* * *

Więc czym jest niebo kiedy Anioł — stróżem
dokąd na smyczach idą ociemniali
i gdzie się tylko jakiś k s z t a ł t p o r u s z y
obcy jest skamieniałym oddechom

Więc czym jest słowo gdy Resztą — milczenie
...Po czystych kartkach spopielone dłonie
wodzą palcami
a droższe niż diament..
Wiatr już rozdmuchał nawet ślady po nich

DOMINIK OPOLSKI

Opowiadanie biblijne

Janowi Milewskiemu

Hoc est enim corpus meum

Bóg rozpięty w ramionach kobiet
umiera razem z łotrami,
którzy je zgwałcili...

EDWARD ZYMAN

Liryki z włosem

I.

Patrz: ziemia włosem tu porosła gęsto.
Ich zapach intensywny tak rozświetla pamięć,
Że palce u nóg drgają ci bezwolnie
I potnieje dłoń.

II.

Powiedzieli: trzeba uważać na ciała,
Rzecz to drogocenna, kosztowna jak mydło.
Codziennie je badać należy dokładnie,
Aby nie zaginął ani jeden mięsień.

III.

A kiedy puchły, rozpękały w ciszy,
Gdy krew z nich biegła wytaczając ciepło,

IV.

Była to lustracja pośladków wyschniętych,
Że drewno tylko wyobraźnia jawi,
Lub odcisk rośliny dawno zeszłej w kamień

V.

Potem zaś wędrówka była kości w glebę:
Karnie szły, czwórkami dochowując szyku,
I piszczel o piszczel nawet nie zadzwonił.

VI.

W tej róży krew się a nie sok przetacza,
U korzeni biały wyrasta jej ból.
Gałęzie ostrość przejęły kolczastego drutu
I zapach też nie własny — czuć tutaj człowiekiem.

VII.

Kiedy zbłądzisz ptaku w opisane strony,
Zważaj bacznie na skrzydła. Nie zaniżaj
Lotu. Włosy tu czyhają lekkomyślnych gości:
Wiążą pamięć, skrzydła, wyłupują oczy.

Oświęcim, w marcu 1966 r.

Ludzie Książki

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

Szkatułka młodej poezji łódzkiej

Wydawnictwo Łódzkie uraczyło czytelników na gwiazdkę jednoczesnym wydaniem jedenastu tomików poetyckich zebranych w szkatułce kolejnej „Biblioteki Poetów" [1]). Być może nie jest to najlepszy sposób wydawania poezji, ale na pewno jest to sposób dający możność wydawnictwu - spłacenia serwitutu wobec młodych pisarzy, dla których debiut książkowy stanowi nadzieję wzlotu na literacki Parnas. Czasami jednak wzlot ten odbywa się na Pegazie pozbawionym skrzydeł...

Zgrupowanie w jednej szkatułce kilkunastu tomików wierszy miałoby o wiele większy sens, gdyby poeci w ten sposób „zaszufladkowani" reprezentowali jakąś pewną grupę czy orientację poetycką (jak na przykład to miało miejsce w szkatułce grupy „Ponidzie"). Dziś jednak coraz rzadziej mamy do czynienia z grupami poetyckimi, posiadającymi własną poetykę czy choćby wspólną świadomość poetycką. Chyba, że wyznacznikiem takiej wspólnoty będzie n i j a k o ś ć prezentowanej czytelnikowi poezji.

Wydawnictwo Łódzkie w omawianej szkatułce podjęło ryzyko prezentacji siedmiu debiutantów. Pozostałe tomiki są zaledwie drugimi książeczkami ich autorów, a więc w zasadzie niewiele różnią się od debiutów. Tak więc łódzka „Biblioteka Poetów 1966", jest biblioteką debiutów. Czy udanych? Dla ich autorów — na pewno, dla krytyków — rzecz wątpliwa, dla czytelników — gdzież oni są, gdzież?...

Powyższe ogólne uwagi, pisane bezpośrednio po skonsumowaniu prawie pół tysiąca stron poezji zamieszczonej w szkatułce, nie dotyczą bynajmniej wszystkich pozycji tutaj zawartych. Dwa tomiki, a zarazem dwa nazwiska debiutantów, wyróżniają się w sposób szczególny. Są to: Janusz Królikowski i Andrzej Biskupski.

Szczególnie tomik pierwszego z nich — „Las otwarty dla wspomnień" — zmusza czytelnika do zwrócenia baczniejszej uwagi, a to ze względu na świeżość i bogactwo przemyśleń zawartych tu utworów, ze względu na specjalny zmysł konstrukcyjny młodego poety, przejawiający się zarówno w kompozycji poszczególnych wierszy, jak i w konstrukcji całości zbiorku. Królikowski zaskakuje świadomością swoich poetyckich zamierzeń i autentycznością artystycznych przeżyć. To ostatnie odnosi się przede wszystkim do cyklu wierszy z tomiku związanych z postawą otwartą dla wiecznie aktualnej sprawy minionej wojny i jej istnienia w świadomości twórców. To właśnie jest ów „las otwarty dla wspomnień", stąd właśnie ów częsty w poezji Królikowskiego symbol drzewa rozkwitającego na ziemi, na stosie i w piecu.

Równie udanym debiutem jest zbiorek Andrzeja Biskupskiego („Każde wnętrze moje"). Jest to poezja zupełnie różna od poprzedniej, poezja, która staje się tematem sama dla siebie. Autor zdaje się zastanawiać nad możliwościami i pojemnością własnego wypowiedzenia, nad przydatnością słowa dla wyrażenia tego, co jest tyle nieuchwytne, ile warte odnotowania, tego, „co staje się w nas", a „nie tłumaczy się na żaden język". Często daleko idące w poezji Biskupskiego zakwestionowanie możliwości wypowiedzi lirycznej, nie ma jednak charakteru destrukcyjnego. Przeciwnie — autotematyczna, studyjna niejako jeszcze poezja młodego twórcy pozwala oczekiwać realizacji coraz pełniejszych i doskonalszych.

Nie tylko wzmianka należy się chyba poezji i osobie Eugeniusza Zarzyckiego. Poeta ten, debiutujący dwanaście lat temu, pozostał aż do swoich ostatnich wierszy wierny własnej poetyce, której niedoskonałość rekompensowana jest przez prostotę i szczerość wynurzenia lirycznego. Nie ulegający nigdy modom literackim, nie potrafiąc czy nie chcąc włączyć się w sezonową nowinkowość poetycką— Zarzycki popełnił samobójstwo latem ubiegłego roku. W pośmiertnie wydanym tomiku znajdziemy słowa, które — być może — zapowiadają tragedię:

Długo biegłem
tunelem
po splątanych szynach
nim szkarłatny
semafor
podniósł groźną łapę
i zatrzymał
mój pociąg...

Na osobne wyróżnienie zasługują ponadto tomiki Włodzimierza Krysińskiego i Wasyla Kocznowa. Ten ostatni jest poetą piszącym w dwóch językach: rosyjskim i polskim. O jego oryginalnym wyczuciu odrębności obydwu tych języków świadczyć może porównanie dwu wersji wiersza „Źródło" („Rodnik") oraz niezwykle interesujące przekłady na rosyjski z Leśmiana i Broniewskiego.

Włodzimierz Krysiński, przebywający obecnie na zagranicznych placówkach naukowych, jest twórcą poezji, którą można by włączyć w nurt neoklasyczny współczesnej poezji polskiej. Utrzymane w elegijnej tonacji jego wiersze związane są tematycznie z szeroko rozumianymi przez autora problemami historii, kultury i cywilizacji.

Nie sposób w tym krótkim omówieniu pominąć kilku słów o poezji Mieczysława Michała Szargana, chociażby ze względu na niezwykłą ilość

nagród, jakie autor ten zebrał w najprzeróżniejszych konkursach, festiwalach czy turniejach jednego wiersza. Wielokrotnie ukoronowana poezja łódzkiego laureata wydaje się być rzeczywiście poezją efektowną. Jednakże przy uważniejszym wczytaniu się w nią sprawia wrażenie pewnego nieuporządkowania. Szeregowe ustawienie asocjacji nie jest jeszcze kompozycją artystyczną. Toteż cały tomik Szargana można z powodzeniem traktować albo jako jeden wielki poemat, albo jako szereg mniej lub bardziej udanych obrazów poetyckich, których pogrupowanie w pojedyncze utwory nie jest wcale zabiegiem koniecznym. Przenoszenie przez Szargana pewnych doświadczeń poezji surrealistycznej (związki z Eluardem są zupełnie nieprzypadkowe...) miałoby o wiele większą wartość, gdyby nie było robione w sposób tak mechaniczny.

Ograniczone ramy niniejszej recenzji nie pozwalają na bliższe zajęcie się poezją pozostałych debiutantów prezentowanych w „Bibljotece Poetów 1966": Teresy Gabrysiewicz, Eugeniusza Foerstera, Mieczysława Kucnera, Adama Puto i Bogusława Sikorskiego. Zresztą chyba lepiej z takim omówieniem poczekać do ich następnych tomików. Po cóż zniechęcać u progu karier y?

---

[1]) „Biblioteka Poetów 1966", Łódź 1966, Wydawnictwo Łódzkie.
(Zawartość:
A. Biskupski: Każde wnętrze moje.
E. Foerster: Miesiąc bez nazwy.
T. Gabrysiewicz: Przędzenie jeziora.
W. Kocznow: Liście i ptaki.
J. Królikowski: Las otwarty dla wspomnień.
W. Krysiński: Ex Occidente...
M. Kucner: Strona powrotu.
A. Puto: Ballada o Stachu i inne wiersze.
B. Sikorski: Wyprowadźcie z dzbanów kwiaty.
M. M. Szargan: Jesień z Judaszem.
E. Zarzycki: Ognie na śniegu.)

Ci dwaj nerwowcy

Z każdym tygodniem przybywa człowiekowi nowych książek. Nie mieszczą się już na półkach. Kładę je na stoliku, na biurku, na podłodze. Nie sposób je wszystkie przeczytać, ba, nie sposób nawet przekartkować. A przecież żyje się nie tylko po to, by czytać książki dzisiejsze; lubimy sięgać po rzeczy dawne, odkrywać je na nowo dla siebie i dla innych. Dawne książki i dawnych autorów przypominają nam historycy, biografiści, szperacze. Literatura współczesna nie wystarcza tak jak nie wystarcza literatura dawna. Jedna musi wspierać drugą. Podobnie jak w teatrze, nie można grać tylko klasyków i nie można grać tylko współczesnych. Trzeba grać jednych i drugich.

Na ladzie księgarskiej wylądowała książka Andre Billy'ego „Bracia Goncourt" w znakomitym doprawdy przekładzie Krystyny Dolatowskiej. Kimże byli ci bracia Goncourt? Młodszy z nich, Juliusz, urodził się w 1830, zmarł w 1870; starszy Edmund, urodził się w 1822 a zmarł w 1896 roku czyli przeżył swego brata o całe 26 lat. Zaczęli od pisania powieści, jedna z nich „Herminia Lacerteux" (polskie wyd. w 1961) uznana została za pierwiosnek naturalizmu i po raz pierwszy wprowadziła na karty literatury lud francuski. Goncourtowie, oprócz powieści społecznych, obyczajowych i historycznych, wydali również kilka rozpraw, próbowali nawet utworów dla sceny, ale produkcja ta nie przyniosła im spodziewanej sławy. Ich utwory beletrystyczne w samej Francji od dawna są zapomniane. Natomiast „Dzienniki", które zaczęli pisać w roku 1851 i które po śmierci Juliusza Edmund kontynuował sam aż po kres swego życia, zapewniły im nieśmiertelność. Mimo, iż „Dzienniki" miały się dopiero ukazać w dwadzieścia lat po śmierci Edmunda, on sam złamał postanowienie i jeszcze za życia ogłosił dziewięciotomowy wybór z wieloletnich zapisków, które narobiły mu wrogów, odstręczyły przyjaciół, nie oszczędzając najzjadliwszych napaści w prasie.

Autor monografii, o której tu wspominam, Andre Billy, sam członek Akademii Goncourtów, którą Edmund zalecił powołać w swoim testamencie i pozostawił na ten cel całą swoją fortunę, obficie cytuje fragmenty owych legendarnych „Dzienników". Bardzo dobrze, że PIW ogłosił tę interesującą monografię, ale — jak to często zdarza się u nas — zaczął od końca. Należało zacząć od wyboru „Dzienników", a dopiero potem dać czytelnikowi rzecz o życiu i twórczości ich autorów. Tak właśnie postąpili Rosjanie. W roku 1964 ogłosili oni dwa pękate tomy „Dzienników" (ponad 1400 stron druku łącznie), który to wybór, dzięki uprzejmości przyjaciół, dotarł również i do moich rąk. Kompletne paryskie wydanie „Dziennika" Goncourtów wynosi 22 tomy, rosyjski wybór stanowi zaledwie niewielką część całości, ale daje niejakie wyobrażenie, czym jest ta pasjonująca wielotomowa książka braterskiej spółki autorskiej.

Gdy Goncourtowie przystępowali do pisania „Dziennika", taki zakreślili sobie cel: „Dziennik ten jest naszą codzienną spowiedzią, spowiedzią dwóch istnień nierozdzielnych w przyjemności, trudzie, troskach, dwóch myślicieli bliźniaczych, dwóch umysłów, na których kontakt z ludźmi i z rzeczami odbiska się w sposób tak podobny, tak identyczny, tak jednorodny, iż można uważać tę spowiedź za ekspansję jednego j a". Historia literatury nie zna podobnego fenomenu. Nie zdarzyło się do czasu Goncourtów, aby jakiś autor czy też autorowie przez 45 lat bez przerwy spisywali, z dnia na dzień, uwagi, i spostrzeżenia, rozmowy z ludźmi i wrażenia z lektury, skandale towarzyskie i najbardziej intymne przeżycia. Dlatego „Dziennik" Goncourtów jest kopalnią wiadomości o epoce, jej życiu politycznym i artystycznym. Ktoś powiedział o tych „Dziennikach": salon i śmietnik, plotka i dokument, muzeum i latryna. U schyłku życia Edmund zanotował: „Wszystkie porażki, przykrości, rozpacze, wszystkie ataki i gorzkie zniewagi nieodłączne od życia pisarzy były naszym udziałem".

Chciałbym przedstawić czytelnikowi kilka próbek stylu braci Goncourtów wyrwanych na chybił-trafił z rozległej lektury „Dziennika". Oto próbka pierwsza: „Augusta była dziś rano w rozpaczy bo stłukła nocnik matki, nocnik, który służył jej przez czterdzieści lat". Próbka druga: „Książka jest uczciwa kobietą, gazeta jest ladacznicą". Próbka trzecia: „Tyle przez niego wycierpiałam, że już nie będą mogła kochać nikogo innego". Próbka czwarta: „Dlaczego Lesseps, który opowiada rzeczy tak interesujące, jest takim nudziarzem?".

Żywię przekonanie, że gdyby „Dziennik" tych dwóch nerwowców, jak bracia Goncourt nazywa Andre Billy, ukazał się w Polsce, choćby w takim wyborze jak rosyjski, byłby prawdziwym bestsellerem. Ale czy się ukaże i kiedy — o tym wie jedynie Helena Zatorska.

Jan Koprowski

Z fotografiki czechosłowackiej

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

Kilka słów o Klubie Krytyków

Zawód krytyka jest jednym z przyjemniejszych zawodów świata. Natychmiast po ukazaniu się eseju względnie recenzji, wdzięczny autor (autorzy) przysyłają krytykowi kwiaty, ewentualnie zapraszają na wódkę, piszą do redakcji listy dziękczynne oraz szybko poprawiają świeży maszynopis, aby przystosować następne dzieło do gustu krytyka. W wypadkach skrajnych niszczą ów maszynopis, wdzięczni za to, że uchronio no ich przed ponownym błędem życiowym oraz oczywiście co prędzej zmieniają zawód.

Krótką tę baśń każdy kandydat na krytyka mógłby nagrać sobie na magnetofon i często przesłuchiwać, aby przeniknęła do jego podświadomości, a w konsekwencji spowodowała eksplozję radosnej krytycznej twórczości i przypływ lwiej odwagi. Niewątpliwie realizacja tego pomysłu mogłaby wpłynąć na zwiększenie liczby krytyków. Las ich wyrósłby wnet na najniewdzięczniejszym nawet ugorze. Ponieważ jednak nie udało się wszystkich przekonać o walorach takiej metody, należało uciec się do zupełnie odmiennych sposobów. Niedawno w Łodzi narodził się nowy pomysł. Autorem jego był Zarząd Oddziału Łódzkiego ZLP w osobach Mariana Piechala i Stanisława Kaszyńskiego. Treść pomysłu: postanowiono założyć Klub Krytyków. I myśl nadspodziewanie szybko uległa materializacji. Klub powstał i działa już dwa miesiące. Jakie są jego założenia i cele?

Oczywiście w tej chwili nie ma mowy o żadnej szkole ani szkółce krytyków, ma to być raczej coś w rodzaju hodowli, a inaczej mówiąc laboratorium, w którym kandydaci na krytyków mogliby dopracować się własnych metod i skrystalizować indywidualności. Członkami klubu są ludzie młodzi, którzy opublikowali już szereg recenzji i artykułów. Opiekunem tej młodzieży jest S. Kaszyński, a żarliwie mecenasuje prezes M. Piechal.

Jak wiemy, w Łodzi działali niekiedy krytycy, nigdy jednak nie istniała większa ich grupa, która wyróżniałaby się na tle ogólnopolskim jakimiś odrębnymi cechami.

Ogólne założenie nowego przedsięwzięcia, to stworzenie właściwej atmosfery dla rozwoju krytyki w naszym mieście. A oto cele bardziej szczegółowe:

Chodzi nam o uzyskanie terenu swobodnej dyskusji nad problemami literatury, a także krytyki. Dyskusje takie odbywają się co dwa tygodnie w lokalu ZLP. Punktem wyjściowym jest referat, który przygotowuje jeden z członków klubu, lub zaproszony gość. Dyskusje mają na celu przede wszystkim uzyskanie świadomości metodologicznej. Chcemy bowiem, aby działalność członków klubu była działalnością krytyczną, a nie tylko recenzencką. Pragniemy bardzo, żeby w ramach klubu zarysowały się odmienne postawy krytyczne, ponieważ w ślad za tym może nastąpić wyłonienie się (znakomitych) krytycznych indywidualności. Mamy też nadzieję, że świadomość należenia do klubu wpłynie dodatnio na śmiałość poczynań jego członków. O ambicjach klubu świadczą zarówno tematy wygłoszonych referatów, jak i tych, które są projektowane. Na pierwszym, inauguracyjnym zebraniu S. Kaszyński mówił o kierunkach współczesnej krytyki. Na drugim S. Świontek odczytał esej „O ironicznej postawie liryka", na trzecim — J. Poradecki mówił o banale w poezji. Wśród tematów, projektowanych na następne spotkania znajdują się m. in.: „O amoficzności współczesnej prozy", „Autor i narrator" „Analiza jednego wiersza" (której dokona kilka osób przy zastosowaniu różnych metod). Oprócz prac krytycznych tego typu przewidujemy omówienie twórczości niektórych pisarzy (omówienia te nie będą pozbawione uogólnień), jak np. Parnickiego, Andrzejewskiego, Kołakowskiego, Czernika, Brychta. Projektujemy zebranie, poświęcone nowej edycji Norwida. Klub planuje także spotkania z wybitniejszymi krytykami. Jedno takie spotkanie z Arturem Sandauerem już się odbyło.

Pragniemy również zapraszać autorów na dyskusje poświęcone ich twórczości, zważywszy że autor będzie jeden, a krytyków dwudziestu kilku, wobec czego oczywiście racja zostanie przy autorze. Jako konsekwencję tych spotkań chcielibyśmy widzieć publikację krytyczne. Są dla nas otwarte łamy „Osnowy", chcemy również utrzymywać kontakt z innymi czasopismami literackimi. Oczywiście jesteśmy świadomi, że ciąży na nas obowiązek zauważania i komentowania twórczości łódzkiej, co nie znaczy, abyśmy z okrzykami zachwytu czytali każde dzieło. Nie chcemy jednak nosić piętna regionalizmu i dlatego mamy zamiar zajmować się też niełódzkimi zjawiskami literackimi.

Oczywiście, na razie klub jest eksperymentem, którego wyniki trudno teraz przewidzieć. Mamy jednak nadzieję, że będzie to eksperyment udany. Na razie dyskusje są ożywione, zainteresowanie duże. Jesteśmy wdzięczni za inicjatywę Zarządowi ZLP, który wyszedł z założenia, że brak prawdziwej, odważnej krytyki zmniejsza rangę łódzkiego środowiska literackiego. Wyraźne frakcje w klubie jeszcze się nie zarysowały. Mamy nadzieję, że niebawem to nastąpi, o czym z radością doniesiemy.

MARIA KORNATOWSKA

Z okazji „Szyfrów"

Wojciech Has należy do tych nielicznych polskich reżyserów, którym można by przydać miano autora filmowego. Mimo, iż materiałem jego filmów są zawsze utwory literackie. Dla Hasa bowiem dzieło literackie jest tylko pretekstem, kanwą na której snuje wątek własnych przemyśleń, obsesji i uczuć. Tworzy zamknięty i integralny świat poetycki. Poezja Hasa jest poezją tęsknoty za przeszłością, za tym co bezpowrotnie minęło lub nieuchronnie przemija. Postaci jego filmów są wyraźnie zwrócone ku przeszłości. Żyją w niej. I Has potrafi znakomicie oddać gorzki smak przemijania, nieważkość i trwanie tego co było. Sama materia jego filmów jest nieustannym przywoływaniem przeszłości. Has lubuje się w starociach, dziwacznych wnętrzach, antykwarycznych rekwizytach. Współtworzą one ów niepowtarzalny hasowski klimat, ów świat pachnący naftaliną i melancholią. Has jest lirykiem, ale lirykiem, który nie zatraca się we własnej poezji. Zachowuje stały dystans, wobec kreowanego przez siebie świata. Chwilami odnosi się wrażenie, że Has bawi się możliwościami tworzenia. Widać to znakomicie w „Rękopisie znalezionym w Saragossie", który jest przecież cudowną zabawą w kino.

Reżyser co chwila podważa naszą wiarę w to co się dzieje na ekranie, igra z najrozmaitszymi możliwościami rozwiązań, zmienia style, otwiera coraz to nowe magiczne pudełeczka. To właśnie styl — zdaje się mówić Has — nadaje kształt materii życia i sztuki. Kształt i sens. W „Rękopisie" reżyser mógł do woli puścić wodze swojej fantazji. Zarazem stworzył najinteligentniejszy chyba polski film. Błyskotliwy, pełen ironii i wyrafinowanych smaczków intelektualnych. Ów spór racjonalizmu i irracjonalizmu, stanowiący zasadniczy wątek „Rękopisu" zdaje się zresztą frapować Hasa. W całkowicie odmiennej płaszczyźnie rozważa go w dwóch filmach, stanowiących w pewnym sensie, tematyczną całość, a mianowicie w „Jak być kochaną" i w „Szyfrach". W obu filmach chodzi bowiem o skonfrontowanie zmitologizowanej, irracjonalnej niemal wizji wojny z jej brutalną, ale szarą i monotonna w swej codzienności rzeczywistością. Has, pierwszy w naszym filmie podjął podobną problematykę. Wydaje się zresztą być do niej predestynowany. W obu filmach Has zrewidował bardzo radykalnie (na wet w stosunku do najwybitniejszych osiągnięć tzw. „szkoły polskiej") pojęcie bohaterstwa. W „Jak być kochaną" odsłonił pozorność i przypadkowość efektownego heroizmu, wielbionego i apoteozowanego. W kolejach losu młodego aktora, granego przez Zbigniewa Cybulskiego, ujawnił także żałosny tragizm kryjący się w owym kulcie pozorów, kulcie efekciarstwa, mitologii heroizmu. Cybulski pada ofiarą tej gry pozorów, jaką ustanowiła wojna i której wszyscy mniej lub bardziej świadomie się poddali. W istocie, autentyczna bohaterka była Krafftówna. Jej bohaterstwo wynikało

z uświadomienia sobie konieczności przetrwania. Był to heroizm codziennych, mozolnych i nieefektownych zabiegów i wysiłków czysto praktycznych, czysto „życiowych". Has nie pokazał w swoim filmie popularnych rekwizytów wojny: walk, strzałów, egzekucji, obozów zagłady itd. Pokazał powszednią rzeczywistość kraju okupowanego. I poprzez absurdalność, nieautentyczność owej rzeczywistości — absurd, tragiczny absurd wojny, która nie jest areną efektownych starć herosów ale niezawinioną tragedią małych ludzi.

Tę problematykę kontynuuja „Szyfry", przenosząc ją na znacznie szerszą płaszczyznę. W „Szyfrach", opartych na opowiadaniu Andrzeja Kijowskiego, Has podejmuje ambitnie zakrojoną polemikę z określonym widzeniem historii i narodowego posłannictwa zaszczepionym nam dosyć głęboko przez romantyzm. Bohater filmu, zawodowy oficer, dla którego wojna była po prostu starciem się wrogich wojsk, zna dzieje okupacji wyłącznie z literatury i martyrologicznych wydawnictw. Jego wyobraźnia snuje więc „ogromne" wizje w których zdjęcia z okolicznościowych albumów mieszaja się z malarstwem Grottgera, symboliką trzech wieszczów, apokaliptyczną scenerią Wyspiańskiego. A wszystko to przy akompaniamencie patetycznie recytowanego tekstu „Anhellego". Ta narodowa edukacja sentymentalna widząca, jak wiadomo, Polskę jako Chrystusa narodów, pozwala bohaterowi umieścić własnego, zaginionego w czasie wojny syna, na piedestale męczeństwa w imię wyższych celów. Próbując dotrzeć do prawdy o swoim synu bohater filmu zbliża się do prawdy o okupacyjnej rzeczywistości, aczkolwiek nigdy jej w pełni nie rozumie. Jest to prawda, jakże daleka od romantycznych wizji i poema tu Słowackiego. Prawda okrutnej i absurdalnej codzienności. Mówi o tym starszy syn bohatera grany znów przez Zbigniewa Cybulskiego. Konspiracja w ciasnym pokoju, pod bokiem Niemców, którzy służą za tarczę ochronną, spanie na broni, fałszywe nazwisko, fałszywe dowody. Nierzeczywisty, niekonywająco. W filmie słowo jest znacznie słabszym elementem niż obraz. I tak doświadczony reżyser jak Has nie powinien był o tym zapominać. Być może „Szyfry" nie są najlepszym filmem Hasa, ale niemniej są pozycją cenną, ambitną w jałowym krajobrazie współczesnej kinematografii polskiej.

I wbrew wszystkim zarzutom stanowią cząstkę hasowskiego świata. W swym specyficznym klimacie, w kunsztownym tworzeniu nastroju, w owym obsesyjnym zanurzaniu się w przeszłość, w przenikaniu się przeszłości z teraźniejszością, „Szyfry" są ogniwem w łańcuchu, filmem autorskim, dziełem Wojciecha Hasa.

prawdziwy świat w który wszyscy uwierzyli. Życie w okupowanym kraju czyli gra pozorów. Jakżeż trudno powrócić stamtąd do świata prawdziwych nazwisk i normalnych zachowań. Końcowe sceny filmu przeciwstawiają rzeczywiste, autentyczne życie krakowskiej ulicy, chwytane — jak gdyby ukryta kamera, wspomnianym poprzednio romantycznym wizjom. Z podróży w przeszłość bohater nasz wraca, jak się zdaje, wyleczony. Inna rzecz, że konstrukcja „Szyfrów" nie jest chyba najszczęśliwsza. Sens filmu z pewnym trudem dociera do mniej wyrobionego widza. Sceny wizyjne dominują ekspresyjnie i ich konfrontacja ze wspomnieniami Cybulskiego, Krafftówny itd. nie wypada zbyt prze

KRONIKA Antytelewizyjna

NIE CHCĘ BYĆ PRZEPRASZANY!

Nie wiem czy Państwo zauważyli, iż coraz częściej jesteśmy przepraszani. Nic sympatyczniejszego, gdy w porę pojawia się miłe „dziękuję" lub skruszone „przepraszam". I esteśmy właściwie tego żądni, jako że szorstkość i brutalność zbyt nagminnie występuje. Ale coraz częściej przeprasza się nas za coś, co wymaga raczej innego rodzaju satysfakcji. Tymczasem zaś... organizacja wycieczki była pod zdechłym medorem. „Orbis" przeprasza: w zakładzie gastronomicznym nie ma nic poza klopsikiem, zakład przeprosi: w mrozy nawala centralne ogrzewanie, odpowiedni referat, na skutek interwencji prasowej, również gotów grzecznie przeprosić. Pokazano wyjątkowo zużytą kopię filmu „Zakazane piosenki", który nie jest filmem-cudem, ocalałym z wojennej pożogi, przeproszono nas! Na oczy królowej angielskiej, na łzy burmistrza Rzeszowa! Mniej przepraszajmy się — w takich oczywiście wypadkach — dokładniej natomiast kontrolujmy naszą działalność, dokładniej wykonujmy nasze zobowiązania!

A teraz ad rem! W poniedziałek ujrzeliśmy sztukę bułgarską. Cieszyłem się na nią. Dużo bowiem pisze się o zobowiązaniach kulturalnych wobec krajów zaprzyjaźnionych, mniej się robi.

Przypuszczam, że „Tajemnica starego domu" Panczo Panczewa nie należy do najwybitniejszych sztuk bułgarskich, przedstawienie jednak narzucało się uwadze. Autor sięgnął po konwencję przez wielu chętnie propagowaną, znacznie rzadziej stosowaną W formie opowieści kryminalno-sensacyjnej podał sprawy psychologiczne, a nawet do pewnego stopnia rozrachunkowe, podporządkowując to wszystko prostej symbolice zawartej w budowaniu nowego domu na miejsce starego. Wątki może przeplatały się nie zawsze w sposób wzbogacający dynamikę sztuki, pogłębiający jej treści — ale rzecz w całości była udana, ciekawa. Reżyserował sztukę Bułgar I. Komitow, aktorzy szczęśliwie wywiązywali się z powierzonych im zadań...

I tu, proszę państwa, zakłócenie w toku sprawozdania. W czwartek przygotowałem się do miłego popołudnia z Jerzym Waldorffem, gdyż wielce sobie cenię gawędziarsko-aktorski talent popularnego muzykologa i pisarza. Lubię w dodatku wspomnienia, wspominki, co w naszym kraju, którego dzieje obfitują w tragiczne cezury, jest czymś szczególnie naturalnym. Nie zawiodłem się: ze swadą poprowadził Waldorff rzecz o „sali pełnej wspomnień" czyli o filharmonii warszawskiej. Siedziałem zapatrzony i zasłuchany właśnie dzięki Waldorffowi, gdyż na ogół filharmonie niezbyt mnie obchodzą. Pokazano nawet dużo biżuterii, zapewne czeskiej. Pokazano fragment filmu, co prawda niezbyt dawno pokazywany, z I. J. Paderewskim i... fragment z „Trędowatej". (Wydajcież wreszcie tę „Trędowatą", może łącznie z wyśmienitą parodią Magdaleny Samozwaniec „Na ustach grzechu"; pozbawmy tę „Trędowatą" posmaku rajskiego owocu zakazanego!).

I... zaczęły się zakłócenia, popłynęła muzyczka wcale nie filharmoniczna. Zniechęcony i zniecierpliwiony wyłączyłem telewizor. Znowu będą nas przepraszać. A przecież „Orbis" czy TV to także przedsiębiorstwa usługowe, zobowiązania muszą być w jakimś sensie dwustronne. Za podróż w nie ogrzewanym wagonie powinno się właściwie płacić odszkodowanie, a za zepsuty wieczór? Właśnie, jak wyglądałaby taka sprawa? Gdyby ktoś TV zaskarżył do sądu, byłaby to sprawa precedensowa. Nie jestem prawnikiem, może nie miałaby ona żadnych podstaw formalnych. Warto kiedyś o to zapytać kogoś kompetentnego.

Nasuwa się jednak uwaga innej natury. Od jakiegoś czasu telewizja nazbyt często podważa zaufanie do naszej techniki. Z trwogą myślę o tym, co się będzie działo, gdy osiągniemy etap telewizji kolorowej. Ał!

Więc tylko... najmocniej przepraszam za te dygresje! Bo dalszy ciąg deszczowego wieczoru, zalatującego grypą, cokolwiek uśmierzył rozdrażnienie. W dzienniku chętnie oglądało się „wzdłuż i wszerz kraju", w jego lokalnym wydaniu dowcipne rysunki K. Mozolewskiego, którego nazwałbym przede wszystkim humorystą, co u nas nie jest darem zbyt częstym. Wreszcie „Partia domina". Nie udała się Zbychowi — Piwowarczykowi próba przeniesienia przygód Klossa w czasy powojenne, ale to nie zarzut: „przestawiać się" nie jest łatwo. Widowisko było frapujące, aczkolwiek nużyła kalejdoskopowa zmienność krótkich epizodów, przynajmniej na początku: gra aktorów wyśmienita, szczególne uznanie należy się duetowi Zofia Kucówna — Stanisław Mikulski, który w międzyczasie awansował do stopnia majora. Był w niektórych scenach nawet smutny liryzm, co zawdzięczamy Lizie — Kucównie. W kilku wypadkach jakże niebanalnie wypadły elementy scenografii...

Jako przyczynek do sprawy poruszonej w poprzednim fe-

lietonie można potraktować wystąpienie Romana Szydłowskiego, poprzedzające sztukę Leona Pasternaka „Pierwsze kroki". Cenię od dawna Leona Pasternaka jako poetę lirycznego i satyrycznego, sztuka jednak była raczej skromnym przejawem umiejętności dramaturgicznych, chociaż kapitan Rosłan uzyskał dość wyraźne kontury, stał się autentyczną postacią, a Katowice zrealizowały utwór ze starannością. Grandelokwencja Romana Szydłowskiego niewątpliwie, w moim przynajmniej odczuciu, zaszkodziła sztuce, tematycznie związanej z 1944 rokiem, sugerowała bowiem znacznie więcej.

I na zakończenie chciałbym odnotować swoistą sensacyjkę: wreszcie i Łódź wzięła udział w „10 minutach recenzji". Marian Piechal mówił o niedawno wydanych listach Leopolda Staffa właśnie przystępnie, a przecież nie skąpiąc informacji, anegdoty, ujawniając związki między treścią listów a wierszami.

Miejmy nadzieję, że łodzianie będą jeszcze zabierać w tej rubryce głos również na temat książek miejscowych pisarzy, jak to się dzieje w innych ośrodkach TV.

JAN HUSZCZA

Felieton trzyzakresowy

Chwalę prezesa

Co jakiś czas budzi mnie rano rzeski głos Prezesa Radiokomitetu, nauczającego wiernych, że radio jest dla wszystkich i młodzi nie powinni domagać się tylko big-bitu, melomani tylko Strawińskiego, a zakochani Kunickiej... Każdemu wg zasług — mówi Prezes — bloki programowe tak staramy się planować...

Właśnie. Radio się stara. Miażdżąca konkurencja telewizji (choć to również ogródek Prezesa) spowodowała — to nie paradoks — że programy radiowe są atrakcyjniejsze, bogatsze treściowo, bardziej różnorodne. Nie mówiąc już o znanym powszechnie fakcie, że dziś jedynie radio mówi do nas dobrą, poprawną, klasyczną niemal polszczyzną.

Radio zdając sobie sprawę z przewagi ruchomych obrazków telewizji, wiedząc, że dysponuje wyłącznie jonią — nadrabia to lawiną pomysłów i operatywnością. Już w południowym przeglądzie prasy z Warszawy możemy się dowiedzieć co piszą dziś gazety, wrocławskie, łódzkie, białostockie... Już ogłoszono konkurs na recenzję ze spektakli radiowego teatru tzw. premier miesiąca...

Właśnie recenzja. Nikt dziś nie pisze o radio. Wszyscy piszą o telewizji — bo można pokazać lwi pazur satyry, można udzielić dobrych rad, można zakpić z okropnego slangu sprawozdawców sportowych, jak to robi od miesięcy naukowe pismo „Szpilki"... A któż odważy się zakpić z pięknej elokwencji Bohdana Tomaszewskiego, który pozostał wierny mikrofonowi?, któż zakpi z Lucjana Szołajskiego, który umie czytać poprawnie obcojęzyczne nazwy i w dodatku nie mówi „czeba" i „czydzieściczy"?

Ale stop! Franc Fiszer opowiadał, że kiedy polskie ziemiaństwo serdecznie podejmowane przez carskiego namiestnika opuszczało nad ranem jego rezydencję — wypadła na biesiadników sotnia kozaków płazując szablami. Dlaczego? — zapytano Fiszera. „Żeby nam się w głowach nie poprzewracało".

Właśnie. Reklamowane przez Prezesa „bloki programowe" mają nieraz przyciężką wagę. Nie wydaje mi się, aby półtoragodzinna prezentacja „Cyrulika Sewilskiego" była zbyt strawna. Opera to ścisła koegzystencja muzyki, śpiewu, ruchu i plastyki — odarcie jej z połowy walorów zubaża ją, odbiera pokaźną część uroków. Myślę, że z prezentowania oper w tak potężnych czasowo rozmiarach należy rezygnować. Na korzyść na przykład takich audycji jak znakomita acz krótka (25 minut) prezentacja arii, operowych przez radzieckiego basa M. Rejzana. Bo co tu kryć, meloman czy potencjalny meloman i tak trafi wreszcie na widownię opery. Czy radio może go do tego zachęcić? Na pewno tak, ale raczej — audycją „typu Rejzan" niż półtoragodzinnym młóceniem Rossiniego.

Radio jeszcze na długo przed erą telewizji przestało zachwycać samym faktem, że „toto" gra. Z początkiem epoki ruchomych obrazków radio przestało świergotać w domach przez okrągły dzień. Teraz naciskamy klawisz radziej, lecz z określonym celem, z programem w ręku. I nam słuchaczom i Prezesowi chodzi wszakże o jedno — abyśmy ten klawisz naciskali jak najczęściej.

Dlatego chyba warto o grającej skrzynce pamiętać nie tylko wtedy, kiedy się nam nudzi. Bo może ona nam dać wiele. Na przykład da nam w odcinkach „Zimę naszej goryczy" Steinbecka, której nie dał nam księgarz, da nam głos Ireny Eichlerówny, której nie da nam (nie wiadomo czemu) telewizja. Słowem — radiofonizujmy się. We wszystkich rytmach.

JERZY WILMAŃSKI

Interpressfoto. Peter Bandtholtz (Dania).

ANDRZEJ GRUN

Impresje z masywu Mur—Bezingi

Wielu spośród tych, którzy poświęcają się fotografowaniu, bądź to z racji swego zawodu, bądź też dla zadośćuczynienia własnej potrzebie piękna upodobało sobie pejzaż. Historia sztuki fotograficznej notuje wiele różnych interpretacji pejzażu, tak jak wiele jego interpretacji znajdujemy w sztukach plastycznych. Od romantycznej, poprzez impresjonizm, ekspresjonizm, traktowanie malarskie, konstruktywistyczne czy realistyczne po swobodne abstrakcyjne improwizacje na temat matury wreszcie.

Wystawa Zbigniewa Staszyszyna, członka poznańskiego ZPAF, którą oglądamy obecnie w salonie Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego jest szczególnie interesująca. Jest to w pięknej formie podana piękna opowieść o krainie majestatycznej i groźnej, dostępnej tym tylko, dla których walka, ryzyko, sytuacje ostateczne są treścią życia. O krainie gór wysokich, lodowców, zdradliwych szczelin, seraków, niezdobytych turni, pionowych skał, oślepiającego słońca, chmur i wichrów. Kiedy oglądałem te fotogramy przypomniały mi się słowa jednego ze słynnych alpinistów, który zapytany, w imię czego naraża się na tysiączne niewygody, niebezpieczeństwa, śmierć nawet — odpowiedział po prostu — b o s ą !

Zdjęcia Staszyszyna (fotogram reprodukowany na str. 1), który sam jest czynnym alpinistą ukazują piękne i mocne fragmenty tej walki człowieka z naturą, groźne piękno dzikiej przyrody gór kaukaskich, w których polscy wspinacze dokonali kilku wspaniałych przejść i zdobyli kilka nie tknętych dotąd stóp ludzką szczytów. I co najważniejsze pokazane to wszystko jest w sposób dyskretny, bez patosu i taniej ekspresji, prawie obojętnie, i jakby bez osobistego zaangażowania.

ANTONI SZRAM

Kwiaty

(KARTKI Z WYSTAWY

Józef Mróz akwarelista z urodzenia, mistrz — techniki pospolitej i jakże trudnej — sam o sobie: „Fascynacja i upodobanie w malarstwie akwarelowym pozostały mi z lat wczesnej młodości. Uważam, że akwarela najbardziej zbliża do natury, do odkrycia tego wszystkiego co dzieje się w naturze oraz w fantazji i wyobraźni artysty". Wygłasza więc apologię akwareli i natury, bez których jego malarstwo stałoby się chaosem.

Naturę pojmuje w sposób realistyczny, akwarelę zaś — w sposób przyziemny i niewymyślny. Nie wierzy w samą wyobraźnię bez bodźców natury. I wierzy w malarstwo akwarelowe, które może zredukować ten dystans. I tak, pretekstem jest natura. Pretekstem są zjawiska przyrody, przedmioty — kwiaty. One tylko służą jako budulec metafor kolorystycznych. Odebrana im zostaje konkretność, odjęta realność. Malarz tworzy (np. to, co zobaczyliśmy na wystawie Towarzystwa Przyjaciół Sztuki w kawiarni „Balaton") kwiaty w wazonach ze swojego piękna, z piękna techniki akwarelowej, a nie z piękna wazonu czy kwiatu.

Jak na dwanaście obrazów, wydawałoby się za mało elementów i różnice mogą zostać nie zauważone. Ale przez owo „rozbudowanie" bukietu wodą i farbą, które można dowolnie mieszać, rozlewać — kwiaty straciły wszelkie podobieństwo, wszelką konkretność. Każda akwarela ma własny charakter. Kwiaty stały się tylko pretekstem, źródłem bodźców malarskich objawiających wysoką kulturę pierwiastka malarskości.

Bardzo nastrojowy, piękny zestaw pomnożony przez wielość podobnych kompozycji nie zawsze łączących się ze sobą, wcale nie nuży oglądającego. Nawet w jego prywatnym mieszkaniu!

Józef Mróz studiował w Państwowym Instytucie Sztuk Plastycznych w Krakowie. Jest laureatem Nagrody Ministerstwa Kultury i Sztuki w r. 1950. Uprawia z powodzeniem inne techniki malarskie: olejną i ścienne (w tym kierunku kształci się u cenionego profesora Jana Bukowskiego).

Józef Mróz. Z cyklu — „Kwiaty" — akwarela.

Fot. S. Rzepka

TERESA WOJCIECHOWSKA

Trudne życie operetkowe

„Życie paryskie" — ostatnia premiera Teatru Muzycznego jest udaną pozycją tego teatru. Główna to chyba zasługa dwóch mistrzów: niezawodnego Jakuba Offenbacha z jego wyczuciem scenicznym i uroczą, pełną wdzięku, lekkości, dowcipu, melodyjną muzyką, która nie starzeje się ani na jotę oraz Władysława Krzemińskiego, który według Meilhac'a i Halevy'ego libretto od nowa napisał. Dzięki temu nie oglądamy i nie słuchamy naiwnej starzyzny, podaje się nam natomiast w miarę dowcipny dialog i dobre teksty piosenek. Reszty dokonali już realizatorzy łódzkiego przedstawienia. Orkiestra przygotowana i kierowana przez Henryka Debicha odtworzyła pełny urok muzyki offenbachowskiej. Tadeusz Cygler stworzył widowisko barwne, żywe, pełne ruchu, układy choreograficzne przygotował Stanisław Miszczyk (chciałoby się trochę więcej tego can-cana), scenografię — L. i J. Skarżyńscy.

W przedstawieniu nie ma właściwie głównych ról, przez scenę przewija się cały niemal zespół z Krystyną Nyc-Wronko — uroczą Gabrielą, Krystyną Jarmułówną — pełną wdzięku Metellą, Danutą Łopatówną (Krystyna), Stanisławą Kowalczyk-Muszyńską znów źle obsadzoną, Edwardem Kamińskim — uwodzicielskim Raoulem, Jerzym Nejmanem (Bobinet), Witoldem Jawisem — lokajem-filozofem, Januszem Duńskim i innymi. Wokalistyka jak zwykle dobra — mamy przecież śpiewaków z prawdziwego zdarzenia. Aktorstwo — rzecz charakterystyczna, im lepsza pozycja repertuarowa w Teatrze Muzycznym, tym lepsze jest aktorstwo. Artyści, chyba nie zdają sobie z tego sprawy, są jakby papierkiem lakmusowym na jakość sztuki.

Tę pozycję można niewątpliwie zaliczyć do dorobku Teatru Muzycznego. Co przyniesie przyszłość? Zobaczymy. Następną pozycją jest „Fantastyczny rejs" Cole Portera. Sądząc z lektury ostatniego programu (wciąż uprawiam ją z niesłabnącym upodobaniem) kierownictwo artystyczne teatru głowi się nad nowoczesnością, dyskutuje, a to już dobrze. Dokonano pierwszych prób rozśpiewania baletu, roztańczenia chóru, prób na razie jeszcze bardzo nieśmiałych (warto też popracować nad dykcją chóru — wiele tekstów nie dochodzi do widowni).

W Teatrze Muzycznym w Gdyni, jego kierownik artystyczny Danuta Baduszkowa podjęła eksperyment. Przystąpiła do zawodowego kształcenia artystów rozrywkowej sceny muzyczno-teatralnej w 3-letnim studio muzyczno-teatralnym, które powstało przy teatrze dla adeptów i solistów tego teatru. W programie: wokalistyka, gra aktorska, dykcja, plastyka ruchu, solfeż, nauka o stylach muzycznych i historia teatru muzycznego. W przyszłości planuje się wprowadzenie nauki języka obcego, szermierki itd. Nauka prowadzona jest w oparciu o bieżące pozycje repertuarowe: „My fair Lady", „Fantastyczny rejs", „Rinaldo in Campo", w miarę poszerzania repertuaru, nowe pozycje będą włączane do programu studia. Wykładowcami są fachowcy tej miary co Halina Mickiewiczówna czy Andrzej Szalawski.

Nie wiem czy akurat trzyletnie i czy w ogóle studio, choć wydaje się, że ta forma kształcenia jest najbardziej wszechstronna i najskuteczniejsza, bo objęta cyklami wykładów i zakończona egzaminem oraz dyplomem państwowym. Może dla naszego teatru przydatniejsze będą jakieś inne metody szkolenia, jakieś inne formy kształcenia. W każdym razie są konieczne, jeśli poważnie myśli się o teatrze nowoczesnym.

Notabene z tą współczesnością czy też nowoczesnością jest jeszcze chyba sporo nieporozumień. Niedawno Lech Terpiłowski napisał w „Życiu Warszawy" („Sposób na operetkę"): „Pisywanie o tzw. współczesnym teatrze operetkowym, który nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek współczesnością i jakimkolwiek teatrem, jest dla krytyka muzycznego zajęciem coraz bardziej nieznośnym, wstydliwym, i podejrzanym". Kryzys repertuarowy teatru muzycznego jest w kraju dość powszechny. Wydaje mi się, przede wszystkim z powodu zafascynowania amerykańską sceną muzyczną, która ma tu być ideałem nowoczesności, a która na nasz grunt wcale tak łatwo nie daje się przeszczepić. Musical, rewia, wielki show — wcale nie jestem pewna czy to właśnie ta nowoczesność i ten ideał, który mamy osiągnąć. Jej główne walory stanowi znakomita sprawność techniczna wspaniała, bogata wystawa, przepych. Treść odgrywa tu najmniejszą rolę. Z jednej strony nie stać nas (nie tylko materialnie) na tego rodzaju widowiska-giganty w skali masowej, z drugiej — my przecież kochamy dobrą fabułę, dla celnego dowcipu skłonni jesteśmy sprzedać ukochaną osobę. Taka już nasza natura.

Ambicje na wielki show zostawmy więc raczej Warszawie, może na jeden w kraju zdobędziemy się. A u nas — na miarę możliwości, ale z dużymi ambicjami — dobra operetka, dobra komedia muzyczna. Trzeba szukać, trzeba unowocześniać, adaptować. Nie chciałabym powtarzać tego, co już raz pisałam przy okazji poprzedniej premiery w Teatrze Muzycznym. W każdym razie na pewno trzeba myśleć o tym, aby do starych tekstów zamawiać nową muzykę, do starej muzyki — nowe teksty.

Nie demonizując względów kasowych. Oczywiście, względy finansowe nie są obojętne dla żadnego teatru. I nie tylko dla teatru, dla Wydziału Kultury, dla Ministerstwa Kultury również. Ale polityka kulturalna naszego państwa jest taka, że do kultury dopłaca w ogóle, a czyni to tym chętniej, im bardziej wartościowe są jej treści, im ambitniejsze zamierzenia realizuje. Teatr Dejmka był w swoim czasie najbardziej deficytowym teatrem łódzkim, a nikt mu z tego zarzutu nie czynił, ani też on sam się tym nie przejmował. Albowiem nie jest zadaniem teatru schlebianie gustom mniej wyrobionej części publiczności, lecz wprost przeciwnie, podnoszenie tych gustów na wyższy poziom, nie jest prawem teatru nadążanie za gustami publiczności lecz wprost przeciwnie — kształtowanie tych gustów.

Piękne wydany album. Szara, płócienna oprawa. Złotą antykwą napis: Teatr Wielki w Łodzi. Sztywna, celofanowa obwoluta. Odwracam okładkę — na czerwonym, głębokim tle jaśniejszą czerwienią ozdobnym kaligrafem nazwiska: Stanisław Moniuszko, Leoncavallo, Karol Szymanowski, Wolfgang Amadeus Mozart, Beethoven, Charles Gounod, Gaetano Donizetti... Karta tytułowa — u góry graficznie potraktowana sylweta gmachu, niżej złotą antykwą napis: Teatr Wielki w Łodzi.

Pierwszy przybytek Melpomeny zbudowano w Łodzi w roku 1878 na zapleczu hotelu Victoria (dzisiejsze kino Polonia) i nazwano Teatrem Łódzkim. Miał on być miejscem występów objazdowych trup teatralnych wędrujących rzemiennym dyszlem jak Polska długa i szeroka. Po latach blisko dziewięćdziesięciu zakończono budowę i gościnnie otwarto podwoje nowego, wspaniałego gmachu. O kolejach losu łódzkich teatrów, zespołów i towarzystw teatralnych i muzycznych wreszcie łódzkiej opery w ciągu tych długich lat, pisze na dalszych kartach albumu Wanda Lipiec i Roman Iżykowski. O samym projekcie architektonicznym, genezie jego powstania i założeniach informuje główny projektant, architekt Witold Kurski.

Album zawiera ponadto archiwalny już serwis zdjęć z przedstawień Opery Łódzkiej w latach 1954—1966. „Straszny Dwór", „Cyrulik Sewilski", „Pajace", „Tańce Połowieckie", „Casanova"... Romuald Spychalski, Weronika Kuźmińska, Andrzej Saciuk, Halina Romanowska... Tytuły, nazwiska znane i bliskie łódzkim melomanom. Na ostatnich kartach albumu kilka kolorowych zdjęć. Gmach teatru, widownia, foyer, malarnia, sala baletowa — niewyraźne kontury, barwy nieczyste i sztuczne. Ot, po prostu złe kolorowe reprodukcje. Poprawna kolorowa reprodukcja wciąż jest jeszcze dla nas nieosiągalna — i nie ponoszą tu winy fotograficy. Zamykam album. Szara, płócienna okładka i czarny znaczek Teatru Wielkiego w Łodzi. Mimo wszystko piękny album. Okładkę projektował Ryszard Grzybowski a układ graficzny całości jest dziełem Wojciecha Slosarskiego.

Album wydany został przez Teatr Wielki w Łodzi, a drukowały go Prasowe Zakłady Graficzne RSW „PRASA".

SPEKTAKLE tygodnia

Film

POLONIA		
	„Gdzie jest trzeci król", 25 seansów	widzów 11 494 — 90%
WŁÓKNIARZ		
	„Koty", 15 seansów	7 674 — 90%
Teatr		
NOWY		
	„Pan Drops i jego trupa", 4 spektakle	2 800 — 100%
	„Kowal, pieniądze i gwiazda", 3 spektakle	1 900 — 80%
	„Sen srebrny Salomei", 2 spektakle	700 — 50%
NOWY Mała Sala		
	„Ojciec", 4 spektakle	600 — 75%
POWSZECHNY		
	„My fair lady", 2 spektakle	1 320 — 100%
	„Derby w pałacu", 1 spektakl	600 — 90%
	„Tajemnica starej wierzby", 3 spektakle	1980 — 100%
JARACZA		
	„Namiestnik", 5 spektakli	3 105 — 98%
7.15		
	„Dobrze skrojony frak", 15 spektakli	2 110 — 100%
OPERA		
	„Carmen", 2 spektakle	2 560 — 100%
	„Halka", 2 spektakle	2 560 — 100%
	„Kniaź Igor", 1 spektakl	1 280 — 100%

LISTY do REDAKCJI

SZANOWNY
PANIE REDAKTORZE!

W 1 n-rze „Odgłosów" z 8. I. br., pan (— jeśli dobrze odcyfrowałem fascimile podpisu) Wiesław Jażdżyński wydrwił był fragment wywiadu ze mną (z „Tygodnika Kulturalnego"), gdzie podałem, iż — jak babkę klozetową — spotkała mnie w 1966 r. przykrość, tyle, że inna, niż nową babkę. „Panu Kobylińskiemu — czytamy w felietonie „Ankietyzacja" — zmarła jego telewizyjna suczka Fikunia, w dniu 23 września ub. r., godzina nie podana, fakt, o którym istotnie należy zawiadomić cały kraj..."

Suczka nazywała się notabene Czikunia, a pełniła w TV przez przeszło rok dosyć istotną (nie tylko moim zdaniem) rolę i dlatego dziennikarz, przeprowadzający ze mną interwiew uznał za słuszne doniesienie czytelnikom o zakończeniu jej znanego żywota. Nie megalomania mówi tu przeze mnie, ważniejszą bowiem od mej pychy sprawą jest to, iż usymbolizowanie Cziką dobre cechy dziecięcego audytorium owocowały nader pięknie czynną miłością do zwierząt tak, jak obecnie pod „wezwaniem" Szarika z „Czterech pancernych i psa" młodociane załogi ocieplały setki bud na zimę i czyniły wiele innych zabiegów, dobrym sercem znaczonych. Gdyby się coś stało Szarikowi — zameldowano by telewidzom i nie byłoby to tylko komunikatem o tym, że pies służbowy milicjanta Iks miał przygodę. Tak i ja nie obwieszczałem wszem wobec, iż zdechł mi chomik lub kawka, a żółwia oddałem; seria „dobranocy" i spotkań z dzieciarnią ustaliła renomę Cziki tak dalece, że stała się nolens volens osobą nader popularną, otrzymującą setki listów z kraju i zagranicy (gdzie sięga nasza emisja), miała chyba z pół setki zdjęć w prasie, mnóstwo notek gazetowych itd. *), — toteż w jej przypadku śmiem sądzić, iż wolno było „wywiadowcy" donieść części z paromilionowej gromadki znajomych Cziki, że starość suczkę zmogła... To nie był mój prywatny pies, lecz jedna z postaci szklanego ekranu, stąd cała historia.

Co pozwoliwszy sobie rzec, kreślę się z poważaniem

(—) SZYMON KOBYLIŃSKI

*) Ogromne mnóstwo suczek w Polsce nosi dziś właśnie imię Czika.

SZANOWNY
PANIE REDAKTORZE!

W „Odgłosach" z dnia 15 stycznia 1967 r. zamieścił Pan artykuł pt. „Następcy pana Wołodyjowskiego". Że „Odgłosy" podnoszą słuszną sprawę znalezienia odpowiedniej bazy, a przede wszystkim sali dla uprawiania pięknego sportu szermierczego na terenie naszego miasta, nikt się nie dziwi. Pan Wołodyjowski, na którego pamięć wspomniany artykuł się powołuje, też by się nie zdziwił, powiedziałby zapewne „Nic to", gdyby nie napastliwe wywody zawarte w artykule pod adresem parokrotnie powtarzającego się w tekście artykułu nazwiska niżej podpisanego.

Wnioski:

1. Myśl o napisaniu tegoż artykułu powstała widać w umyśle — próżno się domyślać — jakiego farsera, ale na pewno farsera, żeby nie rzec krzykacza.

2. Pod wpływem inspiracji tego pierwszego Redaktor Skibicki — wybaczam Mu niewiedzę w sprawach złożonych funkcji dyrektora liceum, ale etyki dziennikarskiej nijak dopatrzyć się nie mogę w napastliwym rozgłaszaniu rzeczy, których się samemu bezpośrednio nie zasłyszało, gdyż doprawdy, nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek miał szczęście rozmawiać osobiście z Redaktorem Skibickim.

Proszę Pana, Panie Redaktorze, o zamieszczenie na ten temat mojego powyższego wyjaśnienia. Łączę wyrazy poważania

Mgr KAROL WIERUCKI
Dyrektor Zespołu Szkół
Ogólnokształcących nr 1
w Łodzi,
Al. T. Kościuszki 65

* * *

Dnia 8. XII. 1966 r. (sobota) o godz. 10 w gabinecie dyr. Karola Wieruckiego miała miejsce rozmowa, która trwała przeszło godzinę. Brałem w niej udział w towarzystwie przedstawicieli Kuratorium oraz Inspektoratu DRN-Śródmieście. Pod koniec rozmowy, której urywki cytowałem w artykule: „Następcy pana Wołodyjowskiego" weszła do gabinetu pani wicedyrektor, która również włączyła się do dyskusji.

Dziwić się więc należy, że dyr. Karol Wierucki nie pamięta faktów, które miały miejsce dosłownie kilkanaście dni temu. A może tą niepamięcią zasłania się rozmyślnie?

ZB. SKIBICKI

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

P. Bonnard — „Andrée Bonnard i dwa psy".

W 20 ROCZNICĘ ŚMIERCI, W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN WIELKIEGO MALARZA

■ W dniu 23 stycznia minęło 20 lat od śmierci, a w październiku minie 100 lat od daty urodzin francuskiego malarza, Pierre Bonnarda. W związku z tymi rocznicami została otwarta w Paryżu wystawa jego obrazów.

Pierre Bonnard urodził się na przedmieściu Paryża 3 października 1867 roku. Po ukończeniu szkoły średniej, studiuje za namową ojca prawo. Rezygnuje jednak z kariery prawnika poświęcając się wyłącznie malarstwu. Określany przez historyków sztuki jako postimpresjonista, sam uważał się za ostatniego impresjonistę. Pozostawił około cztery tysiące swych dzieł: obrazów olejnych i akwarel, szkiców, rysunków, litografii. Jego twórczość, zwłaszcza nowatorstwo w zestawieniu barw i kadrowaniu płócien, wywarły znaczny wpływ na współczesne malarstwo dekoracyjne oraz na malarzy pop-artu.

PRODUCENT TURECKI CHCIAŁ SPALIĆ SWÓJ FILM

■ Producent i reżyser turecki Muhtesem Durukan zagroził publicznie przed biurami rządowymi w Istambule, że rzuci w płomienie swój ostatni film. Chciał on w ten sposób zaprotestować przeciwko brakowi dostatecznej opieki ze strony państwa nad rodzimą produkcją filmową. Władze istambulskie uprosiły Durukana, aby nie palił jeszcze swego filmu, obiecując mu, że jego protest i skargi zostaną przedłożone czynnikom rządowym w Ankarze.

MONA LISA NIE JEST GIOCONDĄ?

■ Do tej pory wiadomo było wszystkim, że słynny portret damy weneckiej pędzla Leonarda da Vinci (namalowany ok. 1503 roku), a znajdujący się obecnie w galerii Luwru przedstawia Monę Lisę zwaną Gioconda. Ostatnio doktor Pulitzer dyrektor jednej z londyńskich galerii oświadczył: „To ja mam prawdziwą Monę Lisę. Słynny obraz z Luwru jest istotnie dziełem Leonarda da Vinci, ale to jest portret innej kobiety".

Podobno dr Pulitzer znalazł we Włoszech dokumenty świadczące o tym jakoby Mona Lisa i Gioconda były dwiema różnymi osobami. Damy te Leonardo da Vinci malował w identycznych pozach. Obraz, który dr Pulitzer zakupił na licytacji dziesięć lat temu jest nieco większy od tego, który znajduje się w Luwrze, a słynny „uśmiech Gioconda", na obrazie znajdującym się w posiadaniu dr Pulitzera, jest podobno jeszcze bardziej zagadkowy niż na obrazie z Luwru.

XVIII ZJAZD FRANCUSKIEJ PARTII KOMUNISTYCZNEJ A LITERATURA I SZTUKA

■ O tym jak Francuska Partia Komunistyczna docenia znaczenie literatury i sztuki, świadczy najlepiej imponująca manifestacja kulturalna zorganizowana z okazji XVIII Zjazdu.

Obok wielkiej sali posiedzeń otwarto dwie bardzo interesujące wystawy, jedna poświęcona książkom, druga — malarstwu i rzeźbie. Obie wystawy wyrażały najlepiej jak FPK ceni twórczość literacka i artystyczna. Na wystawie plastycznej uderzała niezwykła różnorodność eksponowanych dzieł. Znalazły się tu dzieła takich wybitnych twórców jak Picasso, Miro, Masson, Lurcat, Vieira de Silva, Ortega, Max Ernst, Fernand i Nadia Léger i wielu, wielu innych.

Obok tej wystawy urządzona została ekspozycja książek, reprezentowana przez utwory takich pisarzy jak laureaci wielkich nagród literackich np. Edmonde Charles-Roux, która otrzymała niedawno nagrodę Goncourtów, Francois Nourisser, laureat Wielkiej Nagrody Akademii Francuskiej, ponadto dzieła takich wybitnych autorów jak: Aragon, Jean Pierre Chabrol, André Stil, Elsa Triolet, Alain Prévost i wielu innych.

Aragon i Waldeck Rochet na wystawie plastycznej

ROY DISNEY KONTYNUUJE PRACE SWEGO BRATA

■ Roy Disney, brat zmarłego niedawno słynnego producenta filmowego Walta Disneya, oświadczył, że przejmując kierownictwo przedsiębiorstwa zakończy wszystkie zaczęte prace i zrealizuje projekty brata. Między innymi „Disney-Land", olbrzymi park rozrywkowy dla dzieci, zostanie rozszerzony, i rozbudowany, a dwa podobne parki tego rodzaju zostaną jeszcze założone. Na ten cel przeznacza się 25 milionów dolarów.

BELA BARTOK W TELEWIZJI FRANCUSKIEJ

■ Telewizja francuska w serii „Twórca i jego dzieła" nadała ostatnio audycję, poświęconą życiu i twórczości wielkiego węgierskiego kompozytora, Beli Bartóka. Przedstawiciele telewizji dla zebrania materiałów do audycji odwiedzili Węgry i Rumunię — kraje, gdzie kompozytor dokonywał zapisów ludowych pieśni i ludowej muzyki.

Béla Bartók urodził się 25 marca 1881 roku w węgierskim miasteczku Nagyszentmiklos. Węgry opuścił przed drugą wojną światową, wyjeżdżając do Ameryki. Zmarł w Nowym Jorku 26 września 1945 roku. W swej kompozytorskiej twórczości zaznaczył się jako śmiały, utalentowany nowator. Pozostawił wiele dzieł muzycznych jak koncerty, utwory orkiestrowe i kameralne, koncerty na skrzypce i fortepian, pieśni. Napisał kilka prac o folklorze.

Bela Bartok

* * *

Angielskie pismo New Musical Express dokonało podsumowania list bestsellerowych za rok 1966. Wyniki świadczą o wyraźnych zmianach w układzie sił na brytyjskim rynku płytowym. Oto najpopularniejsi wykonawcy w Anglii: Beach Boys, Small Faces, Troggs, Spencer Davis Group, Dave Dee, Dozy, Beaky, Mick and Tich.

Triumfatorzy z ubiegłego roku uplasowali się na dalszych pozycjach: Beatles (3), Rolling Stones (1), Seekers (2), Animals (4), Sandie Shaw (5).

Czerwonymi latarniami listy są jeszcze do niedawna tak popularne zespoły jak: 110 Pretty Things, 125 Byrds.

Listę zamyka grupa Swinging Blue Jeans.

Wyniki amerykańskiego pisma Billboard przedstawiają się następująco: Beatles, Lovin'Spoonful, Rolling Stones, Supremes, Beach Boys.

* * *

Ostatnio Beatlesi oświadczyli, że nie będą występować na publicznych koncertach, a działalność swoją ograniczą do nagrywania płyt i filmów: Oświadczenie to wywołało sporo dyskusji i różnorodnych domysłów. Oto w jaki sposób Paul Mc Cartney tłumaczy przyczyny tej decyzji: „Podczas naszych występów jest tak wielki hałas na widowni, że i tak mało kto nas słyszy, dlatego nie widzimy potrzeby dawania koncertów".

* * *

W lutym przybywa do Anglii na 10-dniowe tournee najpopularniejszy w tej chwili amerykański zespół the Monkees. Grupa ta niedawno zadebiutowała nagraniem „Las Train to Clarksville", które osiągnęło pierwsze miejsce na amerykańskiej hit parade. Następne ich nagranie „I'm a believer" już od dłuższego czasu zajmuje pierwsze miejsce na tamtejszych listach bestsellerów, a w chwili obecnej osiągnęło czołowa pozycję angielskiej hit parade.

Zespół ten bije wszelkie rekordy powodzenia, a fachowcy twierdzą, że będzie to najpopularniejsza grupa 1967 r. Po tournee w Anglii the Monkees wracają do Ameryki, gdzie przystąpią do realizacji swojego pierwszego filmu.

(J. J. J.)

POLONICA

„WOREK JUDASZOW" NIENACKIEGO PO ROSYJSKU

Na schyłku ubiegłego roku ukazał się w Moskwie, nakładem „Młodej Gwardii", tom prozy, w którym pomieszczono utwory Fryderyka Dürrenmatta, A. Christie, P. Gamarra i naszego łódzkiego autora, Zbigniewa Nienackiego. Znana powieść tego ostatniego ukazała się w języku rosyjskim pt. „Operacja chrustalnoje zjerkało" (Operacja krystaliczne zwierciadło) i dotyczy działalności podziemia w latach 1946—47. Książkę wydano w nakładzie 165 tysięcy egzemplarzy.

NOWY NUMER „MICKIEWICZ-BLATTER"

Ukazał się kolejny numer czasopisma „Mickiewicz-Blätter", wydawanego w Heidelbergu pod redakcją zasłużonego badacza literatury polskiej i tłumacza „Pana Tadeusza" na język niemiecki — Hermanna Buddensiega. Numer przynosi obfity materiał eseistyczny, m. in. artykuł Antoniego Gołubiewa pt. „Millenium" Andrzeja Wojtkowskiego „Mickiewicz i Konstytucja 3 Maja", przekład fragmentu „Dziadów", dokonany przez H. Buddensiega, omówienie filmu T. Konwickiego „Zaduszki" i szereg innych artykułów o literaturze polskiej, głównie dziewiętnastowiecznej.

DEDECIUS O LECU

Zasłużony tłumacz poezji polskiej i „Myśli nieuczesanych" Stanisława Jerzego Leca na język niemiecki, Karl Dedecius, ogłosił w wydawnictwie Carl Hanser w Monachium książeczkę pt. „Letztes Geleit für Stanisław Jerzy Lec" (Pożegnanie S. J. L.), w której pomieścił własne wspomnienie o polskim pisarzu, podał ostatnie jego wiersze, fraszki, epigramaty i „myśli nieuczesane" oraz listy do tłumacza i fragmenty wspomnień przyjaciół Leca, m. in. Jana Śpiewaka. Tomik ozdabiają fotografie Leca, fascimile jego rękopisów i reprodukcja pierwszego listu do Dedeciusa z 10 listopada 1959 roku. W sumie piękny upominek dla przyjaciół Stanisława Jerzego Leca i entuzjastów jego twórczości.

POLONICA

Lewym okiem

W CHACIE ZOSTALI OJCOWIE

Mamy już dwa wielkie festiwale piosenki — w Sopocie i w Opolu, mamy nieustanną rewię piosenek i „Rozśpiewane listy" w radio, mamy Osiecką w „Przekroju", łódzkie spotkania z piosenką w towarzystwie Cezarego Juszyńskiego, nuty i teksty we wszystkich niemal czasopismach kolorowych. Lawina zespołów, całe gwiazdozbiory estradowej młodzieży śpiewają i śpiewają, dzień i noc, dzień i noc. A mimo to w żadnym rozbawionym — naprawdę rozbawionym, rozradowanym, roześmianym — towarzystwie nie da się zanucić chórkiem absolutnie żadnej śpiewki poza „Szła dziewczeczka do laseczka". Wycieczki, wczasy, weekendy i grzybobrania bez tej śpiewki — albo odwrotnie: z jakąkolwiek inną śpiewką — są nie do pomyślenia.

Tak samo jak nie do pomyślenia są lekko zakropione konwentykle bez „Góralu, czy ci nie żal". A właśnie mamy karnawał, okazji do zakrapiania sporo. Tragedia górala, opuszczającego strony ojczyste, wprawia w miłą zadumę panów i panie, świerkowe lasy i hale szumią na paru piętrach każdej większej kamienicy jednocześnie. Oczywiście — każdy występ kończy się na pierwszej zwrotce, dalsze mało kto pamięta.

A jeszcze chyba mniej jest takich, co pamiętają, kto był autorem wierszyka o góralu. Wyciągam więc z półki, na której starzyzna różna się kryje, malutką i mocno sfatygowaną książeczkę: Michał Bałucki, Poezye, Wydanie drugie, 1887. Zawiera chyba wszystko, co autor „Grubych ryb" napisał wierszem, bo debiutował właśnie poezją. Od pierwszego wydania, wcześniejszego o trzynaście lat, różni się to drugie tylko maleńkimi poprawkami. Przy każdym wierszu — data jego powstania. Przy wierszu „Dla chleba" — tym o góralu właśnie — data: 1865 rok. A więc powstał w parę miesięcy po wyjściu autora z austriackiego więzienia, a w siedem lat od najstarszego z opublikowanych tutaj wierszy, o którym za chwilę. Proszę nastroić gardziołka, śpiewamy drugą zwrotkę:

Góralu, wróć się do hal,
w chacie zostali ojcowie,
gdy od nich pójdziesz w dal,
co z nimi stanie się — kto wie?...
Czyż ci tych starych nie żal?

Nie, tej zwrotki nie będziemy śpiewać. Nikt przecież nie jest stary, zwłaszcza przy wódce, a poza tym argument o zostających w chacie rodzicach nie może przecież nikogo zatrzymać, wręcz przeciwnie: „starzy" nikogo nie rozumieją. „starzy" są niemożliwi, nie z tej ziemi, psują całą zabawę. Owszem, wrócimy do „chaty", kiedy tylko starzy wyjdą do pracy. A tymczasem co — może trzecią zwrotkę?

Góralu, nie odchodź, oj nie,
na wzgórku u męki boskiej
tam płacze dziewczę twe —
uschnie z tęsknoty i troski
gdy pójdziesz. Nie odchodź, nie!

Ech, też coś nie bardzo. Dziewczynę bierze się po prostu ze sobą, a jak się nie bierze to i tak pójdzie; nie ma już rozstań, są najwyżej ucieczki. Już nawet nie pamiętamy, jak to jest: „i dziewkę porzucić trzeba dla chleba, panie, dla chleba". Jak to dla chleba? Czasem z braku mieszkania, owszem, to się zdarza. A najczęściej — dla odmiany, dla większej rozmaitości wrażeń. Któż by tam usychał z powodu sprawy, od której — jak mawia pewien mój przyjaciel — nikt jeszcze nie umarł, za to wielu się urodziło...

Stare teksty, a najbardziej może właśnie te trzeciorzędne, ubożuchne, skromne, nasuwają zawsze niemało refleksji. Są przepełnione małymi realiami swego czasu, stanowiącymi dla nas taką egzotykę, jak lampki naftowe wykupywane w łódzkiej „Desie" za dolary przez holenderskich antykwariuszy. Lampki, które tak niedawno oświetlały nasze dzieciństwo. Taką samą egzotyką pobrzmiewają w innym wierszu Bałuckiego słowa o dziewczynce, której

....nóżki, krótką zakryte sukienką
równie jak myśli, co dziecinne były,
jeszcze się ludzkich oczów nie wstydziły...

O tempora, o mores! Jak można wstydzić się nóżek? A może i dziś — czym bardziej dziecinne myśli, tym krótsza sukienka?

W każdym razie dzisiaj pan Michał nie musiałby kucając za krzakiem podglądać kąpiących się dziewcząt w białych koszulkach (tak!), nie myślałby, że to anioły. Mówię o najwcześniejszym z wierszy, napisanym w dwudziestej pierwszej wiośnie życia autora „Grzechu pierworodnym". Podglądanie skończyło się tak:

A wtem jakaś pani brzydka taka
jak wypadnie na mnie spoza krzaka,
i nuż besztać, i nuż grozić ręką:
A smarkaczu, do książki, kajetu,
a do szkoły mi zaraz, a nie tu
przypatrywać się w wodzie panienkom.

I jak anioł praojca Adama,
tak mnie z raju wygnała ta dama,
i z tej łaski zmądrzałem bez szkoły,
żem już panien nie brał za anioły.

My tę mądrość też zdobywamy bez szkoły, ba, na długo przed pójściem do szkoły. Ano, jesteśmy o setkę lat starsi.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Ewa Siemińska, Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 284. I. 1967 r. O-2.